



Marion Lennox



Niezależna lekarka

Tytuł oryginału: City Surgeon, Small Town Miracle



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nad wąską szosą piętrzyły się pionowe ściany skalne, pod nią teren opadał w stronę morza, ale doktor Max Ashton nie podziwiał widoków. Miał dosyć wakacji i zależało mu na jak najszybszym powrocie do Sydney. Do pracy i do samotności.

Marzenie ściętej głowy. Gdy jego sportowy ciemnogrnatowy aston martin znalazł się na zakręcie szosy, jak spod ziemi wyrósł przed nim pikap z przyczepką dla bydła. Nie był duży ani nie jechał szybko, podobnie jak Max, ale droga była za wąska, by mogli się minąć.

Pikap gwałtownie zjechał pod skalny nawis, co sprawiło, że przyczepką znalazła się na przeciwnym pasie. Zderzenie było nieuchronne.

Maxowi nic się nie stało, ale upłynęło kilka sekund, nim uniósł głowę znad poduszki powietrznej, by ocenić straty.

Niedobrze, ale na szczęście nie ma dymu, pomyślał. Kabina pikapa nie wyglądała na uszkodzoną, a on miał tylko wgnieciony przód. Jest szansa, że skończy się na słownej potyczce z nieubezpieczonym idiotą, który takim złomem wyjeżdża na drogi publiczne.

Kolizja jednak miała ciąg dalszy. W pewnej chwili rozległ się huk. Oho! Guma. Wyglądając znad poduszki, obserwował, jak przyczepką powoli przechyla się na jedną stronę, po czym odrywa od pikapa i powoli zsuwa w stronę krawędzi. Na szosie nagle się zakotłowało. Jego oczom ukazała się plątanina niezliczonych nóg, ogonów i przerażonych oczu rozpaczliwie szukających podłoża, niebezpiecznie zbliżająca się do krawędzi. Nim zareagował, cielecia zniknęły mu z oczu, a z kabiny kierowcy rozległ się histeryczny kobiecy krzyk:

– O nieee!

To go wyrwało z odrętwienia. Wyskoczył z auta. Kabina od strony pasażera płasko przylegała do skały, ale od strony kierowcy była nienaruszona. Nagle drzwi się otworzyły i z kabiny wygramoliła się kobieta. Ale przed nią wyskoczyła kosmata biało–czarna kula. Owczarek?

– Zatrzymaj je! – Kobieta minęła go, jakby go w ogóle nie widziała. – Bonnie, zawróć je!

Czarno–biała kula zniknęła.

Maxowi rzuciła się w oczy drobna kobieca sylwetka w spłowiałych dżinsach oraz zakrwawiona twarz. Chwycił kobietę za ramię, ale mimo że się wyrywała, zdołał ją przytrzymać. Stał oko w oko ze zrozpaczoną istotą, gotową rzucić się w pogoń za stadkiem cieląt.

– Puszczaj! To są cielaki babci!

W odpowiedzi mocniej zacisnął palce na jej ramieniu. Mimo że weekend miał spaprany, mimo że przez tę kobietę będzie miał jeszcze gorsze wspomnienia, poczuł się w obowiązku przeszkodzić jej w samozniszczeniu.

– Pani jest ranna.

Miała zakrwawione czoło i lekko się zataczała, jakby jedna noga odmawiała jej posłuszeństwa.

Na dodatek była w ciąży, mniej więcej w siódmym miesiącu. Gdyby nie brzuch, można by wziąć ją za nastolatkę w znoszonych dżinsach, czerwonej kurtce i zabłoconych kowbojkach. Co jeszcze? Szacował ją wzrokiem. Rude włosy splecione w dwa warkocze, piegi i wielkie piwne oczy, teraz bardzo przestraszone. Jest kontuzjowana, więc na pewno nie pozwoli jej szukać cieląt.

– Niech pani usiądzie. – Próbował pchnąć ją na pobocze, ale się oparła.

– To są cielaki babci... – Była bliska łez. – Ona musi je zobaczyć, zanim... Puszczaj! – Szarpnęła się, ale nie zwalniał uścisku.

– Najpierw panią zbadam. Ma pani ranę na głowie. Rzucając mu wściekłe spojrzenie, otarła czoło rękawem.

– To nie tętnica, więc nie warto się tym przejmować. Nie padnę z powodu zbyt wysokiego ciśnienia śródczaszkowego. Proszę mnie puścić.

– No nie – powiedział zaskoczony jej wiedzą.

– Właśnie że tak! – Kopnęła go w piszczel, nim zdążył zareagować.

Oślupiały puścił ją, a ona jak wicher zbiegała już po zboczu. Na szczęście nie było strome, więc cieleta, doliczył się czterech, nie spadły w przepaść. Biegły plażą na północ, poganiane przeraźliwym ujadaniem Bonnie.

Nieznajoma najwyraźniej zamierzała je dogonić. Przez ułamek sekundy Max był skłonny jej w tym nie przeszkadzać. Mało to rycerskie, pomyślał. I raczej niewykonalne. Jest potłuczona i ciężarna, a biegnie ratować cieleta, które rozpierzchły się w dużej mierze z jego winy. Więc jęknął cicho i pobiegł za nią.

Dogonił ją bez trudu, ale przyspieszyła, a gdy próbował ją zatrzymać, kopnęła go po raz drugi.

Dlaczego on to robi? Całe to zamieszanie spowodował ten jej przerdzewiały wrak, a ona na domiar złego go kopie, i to boleśnie. Ach, te kobiety, pomyślał rozżalony. Od śmierci żony bardzo starannie otaczał się grubym murem i teraz znowu miał ochotę się za nim ukryć. Czym tu się przejmować? Niech sobie lata za cielećkami i psem, a on powinien wezwać pomoc drogową i spokojnie czekać, aż nieznajoma oprzytomnieje. Ale jest ranna, no i w ciąży.

Nie pora się obrażać. Lekarze wprawdzie już nie składają przysięgi Hipokratesa, ale istnieje jeszcze sumienie. Co więcej, miał pewne wątpliwości, czy ta szalona kobieta zatrzyma się, nim padnie na skutek upływu krwi albo

wstrząsu. A nieprzytomna kobieta może człowiekowi bardzo skomplikować życie.

Dopadł ją w chwili, gdy wbiegała na plażę. Kiedy chwycił ją za bluzkę, chciała się odwinąć, ale tym razem był na to przygotowany. Oplótł ją ramionami tak mocno, że nie mogła się ruszyć, po czym wziął ją na ręce.

– Puszczaj mnie! Ubrudzisz sobie kurtkę – warknęła. Faktycznie. Przywiózł ją z Włoch i bardzo lubił. Szkoda byłoby ją zniszczyć przez zdesperowaną babę.

– Spokojnie. Przyślę pani rachunek z pralni.

– Krew ze skóry nie zejdzie.

– Niech się pani opanuje i się nie wyrywa, dopóki nie opatrzę tej rany na czole.

– Sama to zrobię... kiedy pozbieram cielaki. Co ja powiem babci, jak zapyta, gdzie się podziały?

– „Babciu, są na plaży” – odrzekł z kamiennym spokojem, po czym poprowadził ją z powrotem na zbrocze. – Tak, cielaki są bardzo ważne, ale pies sobie z nimi poradzi. Chyba nic im się nie stało. Przed nimi i za nimi zbrocze jest strome, więc na pewno zostaną na plaży, dopóki ich ktoś nie zagoni, gdzie trzeba. Moje auto tymczasem blokuje szosę na samym zakręcie i nie chciałbym, żeby ktoś je do szczytu rozbił.

Spiorunowała go wzrokiem.

– To niesprawiedliwe – powiedziała, a on dostrzegł w jej oczach wesołe iskierki. – A co z moim pikapem?

– Jego też uratuję – mruknął. – Jak mi pani to umożliwi.

– Dziękuję. – Wyraźnie spokorniała.

Prac pod górę, nagle poczuł, że ma miękkie kolana. Poduszka powietrzna zapobiegła urazom, ale nie uchroniła go przed wstrząsem, który już dawał o

sobie znać. W pewnej chwili zauważył, że i nieznajoma zadrżała. To znaczy, że nie jest taka silna, jak udaje. Albo boli ją bardziej, niż okazuje.

Albo ma wyrzuty sumienia.

– Przepraszam, że pana kopnęłam – powiedziała, ku jego zaskoczeniu obejmując go za szyję. Okazało się jednak, że dzięki temu jest mu łatwiej iść. I całkiem przyjemnie. Nawet kolana przestały mu drżeć. – Nie zachowałam się najładniej – przyznała. – Zwłaszcza że to chyba ja spowodowałam ten wypadek.

– Co do tego nie mam wątpliwości.

– Niezbyt pan miły. – Odgarnęła włosy z twarzy, po czym ze wstrętem spojrzała na swoją dłoń. Wzruszyła ramionami i z powrotem objęła go za szyję. – Ohyda. Rzeczywiście jestem zakrwawiona. Może by mi pan pożyczył coś w charakterze bandaża? Potem zejdę na plażę, żeby zająć się cielakami. A może by pan pojechał na farmę i poprosił babcię, żeby przysłała Angusa?

– Ile jest do farmy?

– Pięć minut.

– Angus panią wyratuje?

– Angus wyratuje cielaki.

– Nic z tego. – Postawił ją na poboczu. – Nie wiem, jakie bajki pani czytała, ale w moich żaden rycerz nie stawiał cieląt przed białogłową.

– Nie jestem białogłową – obruszyła się. – Jestem ruda.

– Zauważyłem. – Słabnie z minuty na minutę, pomyślał zaniepokojony. – Mimo to postąpię jak rycerz.

Nim się zorientowała, zrzucił poplamioną krwią kurtkę, chwycił rękaw koszuli, tej, którą kupił we Włoszech razem z kurtką, oderwał go i starannie zwinął.

– Taka piękna koszula... – szepnęła słabo.

– Przyślę rachunek.

– Rycerze tak mówią?

– Ja tak mówię – odparł, szczerząc zęby, na co odpowiedziała uśmiechem. Dzięki Bogu.

Była starsza, niż mu się wydawało. I zdecydowanie ładniejsza. O wiele ładniejsza. Miała zniewalający uśmiech.

– Ja to zrobię. – Podniosła rękę, przejęła od niego tampon z koszuli i przycisnęła do czoła.

Nie dość, że ładna, to zdecydowanie mniej głupia, niż myślał. Wspomniała wcześniej o podwyższonym ciśnieniu śródczaszkowym. Ma wykształcenie medyczne?

Nieważne. W tej chwili nie była w stanie wykonywać swojego zawodu, a on nie ma czasu rozczulać się nad jej uśmiechem. Stał nad nią zamyślony. Głowa na razie w porządku, ale pozostałe obrażenia wcale nie są takie błahе. Ona usiłuje je bagatelizować, ale on wie, jak wygląda twarz człowieka nękanego bólem.

Utykała. Ma dżinsy poszarpane na kolanie. I zakrwawione, mimo że mniej niż twarz. Ale...

Przykląkł i ostrożnie rozdarł nogawkę.

O kurczę. Jakim cudem zeszła ze zbocza? Jakim cudem w ogóle trzymała się na nogach?

Ze skaleczenia na kolanie leniwie płynęła krew, ale to tylko połowa problemu, bo kolano puchło w oczach. Widać też było formujący się pod kolanem krwiak.

– Ojej – wyszeptała. – Po co pan to zrobił? Wolałabym tego nie widzieć.

– Trzeba coś podłożyć. – W myślach pożegnał się z włoską kurteczką. Zwinął ją, po czym wsunął jej pod kolano. Jego wzrok padł na koło zapasowe,

które oderwało się od przyczepki. Przytoczywszy je bliżej, oparł na nim jej stopy.

Warto by prześwietlić jej głowę oraz nogę. Nie interesuje go jej zdanie, bo on nie pozwoli jej umrzeć z powodu krwotoku wewnątrzczaszkowego tylko dlatego, że jest uparta. Ale to nie wszystko. Dziecko też mogło ucierpieć wskutek problemów z łożyskiem. Ta kobieta wymaga USG, odpoczynku w łóżku oraz obserwacji.

Należy też zająć się dzieckiem, a to oznacza, że jak najszybciej powinien ją komuś przekazać.

– Wzywam karetkę – powiedział, wyjmując z kieszeni komórkę. – Trzeba panią prześwietlić.

– Może pan to włożyć między bajki – odparła zmęczonym głosem. – Nawet gdyby był tu zasięg, to właśnie stoi pan przed jedyną karetką w Yandilagong.

– Słucham?

– Normalnie to nie jest ten pikap. Mam całkiem spore combi, ale rano poszedł w nim przewód chłodnicy.

– O czym pani mówi?!

– Ten pikap będzie miejscową karetką, dopóki nie zdobędę nowego przewodu chłodnicy – tłumaczyła jak idiotcie. – Innej karetki tu nie ma. Jutro przywiozę nowy przewód z Gosland, jeżeli uznam, że mogę babcię tak długo zostawić bez opieki.

– Nie ma karetki? – Pozostałe szczegóły mało go interesowały. Czuł potrzebę skoncentrowania się na tym, co najważniejsze. – Dlaczego?

– Niech by pan spróbował ściągnąć w te rejony personel medyczny albo chociaż środki. – Nie kryła gorczy. – Na ten weekend z powodu festiwalu przyjechało tu dwoje ratowników, ale to wszystko. Jak nie mogę dostać karetki

z innego obwodu, pakuję pacjentów do combi i wiozę ich do Gosland. Tam jest najbliższy szpital, godzinę stąd. Tutaj mamy podstawowy sprzęt, na przykład aparat rentgenowski, ale nie przedrzemy się przez miasteczko z powodu tysięcy gości festiwalowych. Ale to nieistotne – stwierdziła rezolutnie. – Chciałabym posłuchać tętna dziecka, bo mnie nic nie jest. Muszę jechać do domu, do babci. To o nią trzeba się martwić, ale ona nie potrzebuje karetki. Ona potrzebuje mnie.

Członkini jakiegoś ochotniczego pogotowia ratunkowego? Sytuacja z minuty na minutę wydawała mu się coraz bardziej absurdalna.

Jeszcze raz spojrzął na wyświetlacz komórki. Zero zasięgu. W porządku, karetki nie będzie.

– Jak ci na imię? – Od czegoś musiał zacząć.

– Maggie. Tylko tracimy czas.

– Który to miesiąc?

– Trzydziesty drugi tydzień. – Głos jej zadrżał. – Nic mu się nie stało.

– Czujesz ruchy? – To pytanie z trudem przeszło mu przez usta. Sześć lat temu stracił synka. Czy to kiedykolwiek przestanie boleć?

– Tak, kopie.

– To dobrze. – Ale przydałoby się posłuchać tętna. Stetoskop. Dopisać do listy: karetka, prześwietlenie, stetoskop, USG oraz zespół medyczny, który pozwoli mu pojechać swoją drogą.

Nic z tego. Kolejny problem to zablokowana szosa.

– Jeżeli ktoś będzie tędy jechał... – Zawahał się, rozważając priorytety.

– Tu jest mały ruch. Chyba że trafi się jakiś naiwny urlopowicz, który postanowi tędy dostać się do autostrady.

– Super, dzięki.

– Oj, przepraszam. Musimy ją odblokować. Przy przesuwaniu przyczepki potrzebna będzie ci pomoc. Czekaj. – Oparła się oburącz na poboczu, by się podnieść.

– Nie! – Doskoczył do niej, by ją powstrzymać.

Jego pierwsze wrażenie zmieniało się jak w kalejdoskopie. Na początku myślał, że ma do czynienia z nastolatką, młodą matką jak te, które przychodziły do poradni dla kobiet w ciąży. Były to w większości mocno przestraszone dziewczyny, którym ciąża kazała dorosnąć przed czasem, ale im dłużej przyglądał się tej kobiecie, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu o jej dojrzałości.

Kobieta, która widziała niejedno, pomyślał.

Nie była piękna, nie w klasyczny sposób, ale gdy ich spojrzenia się spotkały, w jej oczach zamigotały iskierki. Takie oczy zmuszają mężczyzn, by spojrzeli na kobietę drugi raz. I kolejny.

– Pozwól mi wstać – warknęła, jakby wyczuwała niestosowny kierunek, który obrały jego myśli.

– Chcesz, żeby kolano tak ci spuchło, żebym musiał je naciąć?

– Co...?

– Pod kolanem zbiera ci się krwiak. Jak się powiększy, możesz mieć kłopoty z krążeniem. Trzeba je przeświecić. Poza tym niepokoję się o dziecko. Konieczne jest USG.

– Jesteś lekarzem? – zapytała z niedowierzaniem.

– Niestety tak.

Nie kryła zdumienia.

– Pan doktor, a do tego despota. Pewnie chirurg.

– W pewnym sensie, ale...

– Chirurdzy są najgorsi. Słuchaj, jak ci obiecuję, że nie pociągnę cię do odpowiedzialności, to pozwolisz mi wstać?

– Nie.

– Przyczepka...

– Usunę pikapa.

– Sam?

– Przestań gadać – rzucił poirytowany, a ona się uśmiechnęła.

– Tak, doktorze.

Powiedziała to uległym tonem, ale uśmiechała się słodko. I bezczelnie.

– Pielęgniarka? – zapytał podejrzliwie.

– Nie, doktorze. – Nie przestawała się uśmiechać. – Mimo to musisz się zgodzić, żebym ci pomogła.

– Chyba śnisz... – warknął rozbrojony jej uśmiechem i wysiłkiem, by odebrać mu kontrolę nad sytuacją.

Najczarniejszy scenariusz? Gdyby zaczęła rodzić.

Albo straciła dziecko. Kolejna śmierć...

Normalnie woził torbę lekarską, ale tym razem Fiona i Brenda zapowiedziały weekend bez medycyny i dopięły swego. Kobiety. Zawsze stwarzają problemy.

Prawdę mówiąc, ta wcale nie stwarza problemów, przyznał w duchu. Nie wygląda na taką, która narzeka, ale po oczach widać, że cierpi. Dobra, stary, do roboty. Trzeba jej pomóc, a tylko ty tu jesteś.

– Nie żartowałem, mówiąc, żebyś się nie ruszała – powiedział. – Mam zadanie do wykonania i nie chcę, żebyś mi przeszkadzała. Więc się nie ruszaj.

– Tak jest – odparła potulnie, ale on ani przez chwilę nie wierzył w jej potulność.

Nie ma wielkiego wyboru. Noga tak ją rwała, że chwilami robiło jej się słabo. Leżała, starając się nie myśleć o skutkach zderzenia i o tym, jakie to może mieć konsekwencje dla dziecka. Ani o tym, że babcia może potrzebować środka przeciwbólowego, czy o tym, że tak długo jest poza domem. Czuła, że za chwilę noga jej odpadnie, a jej wcale nie byłoby z tym źle.

Jeśli ten facet rzeczywiście jest lekarzem, to może ma w tej swojej superbryce coś, co jej pomoże.

Bez wątpienia to lekarz. I chyba w swojej specjalności cieszy się uznaniem. Rzadko myliła się w ocenie ludzi, a ten facet był nie tylko bardzo przystojny. Wysoki, pięknie zbudowany. I z ogromnym dystansem. Dlaczego?

Ból nie dawał jej spokoju. Czy ten przystojniak ma w bagażniku coś, co może jej pomóc?

Co można zaaplikować ciężarnej? Bezwiednie osłoniła dłońmi brzuch. Nic.

– Musimy to wytrzymać bez prochów – szepnęła do dziecka. – Trzymaj się.

W odpowiedzi dzieciak poruszył się, a chwilę później wymierzył jej silnego kopniaka. Dobrze! Może nie zauważył, co się stało, a może kopie ze złości.

– Będzie dobrze – szepnęła po raz tysięczny w trakcie ciąży. Ma pod ręką lekarza. Przystojnego.

Przystojny czy nie, lekarz czy nie, nie miał teraz czasu na leczenie i ona to zaakceptowała. Skoro ona nie ma trudności z oddychaniem ani nie wykrwawia się na śmierć, to on musi odblokować drogę. W każdej chwili nowy wypadek gotowy.

Ale jak on przesunie przyczepkę? Zatrzymała się w taki sposób, że nie da się ruszyć ani jego auta, ani jej pikapa. Przecież jej nie podniesie.

I nie podniósł. Mimo że napierał na nią z całych sił. Klatka dla cieląt zespawana ze stalowych prętów na żeliwnej podłodze miała dwa i pół metra długości i metr osiemdziesiąt szerokości. Od ponad dwudziestu lat stała na przyczepce, więc Maggie nawet nie przyszło do głowy, że może się z niej zsunąć.

Babcia jej o tym nie powiedziała. Babcia nie powiedziała jej o wielu rzeczach, pomyślała ze smutkiem. Oszukaństwo za oszukaństwem. Nawet decyzja, by mieć to dziecko, była po części wynikiem intrygi babci. Ale nie będzie robiła jej wyrzutów. Prawdę mówiąc, tak bardzo niepokoiła się teraz o babcię, że aż robiło się jej niedobrze.

Co poza tym? Za wszelką cenę musi usłyszeć tętno dziecka. Ale leży bez ruchu na ziemi i obserwuje, jak jakiś despotyczny chirurg mocuje się z klatką. Dobrze chociaż, że jest tak zbudowany, że ona prawie nie zauważa bólu.

Gdy zobaczyła go po raz pierwszy, wydał się jej przystojny i elegancki. Teraz jego starannie ostrzyżone czarne włosy zlepił pot, a na twarzy pojawił się ciemny zarost. Zachwycający widok.

Idiotyczne myśli.

Zlany potem, postępując, napierał na żelazne pręty.

Jedno ramię miał nagie, bo rękawem opatrzył jej czoło, więc teraz mogła podziwiać jego mięśnie. Również muskulaturę torsu, bo im bardziej się pocił, tym bardziej oblepiała go koszula. Im bardziej się pocił, tym dalej odbiegała myślami od swych problemów. Ma tyle zmartwień, że głowa jej pęka, a ona gapi się na faceta, który usiłuje przesunąć ciężar za duży dla jednego człowieka.

A jednak... Klatka drgnęła o parę centymetrów, aż powoli zaczęła zbliżać się do krawędzi zbocza. Nieznajomy pchał dalej. Powinna była przewidzieć jego zamiary, ale zafascynowana się zagapiła.

– Spadaj! – Natarł na klatkę po raz ostatni. Nim się zorientowała, klatka stoczyła się w dół.

– Jak ja teraz dowiozę cielaki do domu? – mruknęła, ale on nie słyszał, bo już siedział w pikapie, wycofując go spod skalnej ściany. Silnik zgrzytał rozpaczliwie, ale auto jechało. Odprowadził je do najbliższej zatoczki, po czym biegiem wrócił po swojego aston martina.

Obserwowała go, zachwycona jego ciałem i energią. Oraz jego autem. Pierwszy raz widziała coś takiego z bliska. Niezłe, stwierdziła. Chirurg w sportowym cabrio.

Zakręciło się jej w głowie. Pewnie od tego, że wyrznęła czołem podczas zderzenia. Powinna przejmować się bólem kolana, a nie jakimś...

On tymczasem wsiadł do auta, po czym odjechał spod skały, zawrócił w kierunku północnym. Miejsce oszołomienia w jej głowie błyskawicznie zajęło przerażenie.

Na północ. W stronę Sydney.

Zerwała się na równe nogi i z rozpostartymi ramionami ruszyła na maskę astona. Gdyby nie zahamował z piskiem opon, byłby ją przejechał.

Oparła się o maskę, aby zapanować nad natłokiem myśli. Zbierała się, by powiedzieć, że to chwila paniki, że wcale nie przyszło jej do głowy, że on odjeżdża.

Wpadła w histerię. To niewybaczalne.

Nie mogła jednak wydobyć z siebie ani słowa. Stała, dysząc ciężko. I wtedy on wysiadł, ujął ją za ręce i przyciągnął do siebie. Sprawiał wrażenie do głębi poruszonego. Bo jakaś wariatka pchała mu się prosto pod koła. Czowała, że musi się wytłumaczyć.

– Nie mogę... Nie mogę zostawić babci – wyjąkała. – Musisz zawieźć mnie do domu. Musisz. Nie możesz mnie tu zostawić!

Ze strachu była ledwie żywa. Zaklął pod nosem i objął ją mocniej, bo ciągle drżała.

– Maggie, nie odjeżdżam. Nie jestem aż takim draniem. Zjechałem z zakrętu, żebyś mogła bezpiecznie wsiąść. – Przytulił ją mocniej. – Spokojnie, nie zostawię cię – szeptał jej do ucha. – Nie bój się. Odwiozę cię do babci. Zrobię, co trzeba. Razem to zrobimy.

Oparł brodę na jej głowie. Wydawało mu się, że ona rozumie, że on tylko przestawia samochód; że nie dlatego to robi, by ją zostawić.

Tak, do tej pory zachowywał się jak na oddziale ratunkowym, gdzie nie zwraca się uwagi na całokształt sytuacji. Tutaj jednak powinien to uwzględnić.

Jej obrażenia nie zagrażają życiu, ale ona cierpi, jest w szoku, a do tego w ciąży. Jej pikapa należy spisać na straty, a bez komórki ona nie ma szansy się stąd wydostać.

Gdy wsiadał do auta, język jego ciała prawdopodobnie wyrażał chęć zostawienia jej, więc jej reakcja była zrozumiała. Obejmował ją, czekając, aż rytm jej serca się uspokoi. W końcu poczuł, że nieco się zrelaksowała.

Obejmowanie pacjentki jest bardzo nieprofesjonalne, ale kto by się tym przejmował? Przyjemnie było ją obejmować. Jemu też to dobrze robi.

Praktycznie od sześciu lat nie dotknął kobiety, bo nie chciał. Teraz, wychodząc z szoku, balansując na granicy profesjonalizmu, poczuł coś innego. Pożądanie?

Na pewno nie. Nie pożąda tej kobiety, bo ona uosabia wszystko, czego on unika. Po kilkudziesięciu minutach znajomości takie emocje nie mają sensu. Mimo to nie potrafił ich wyciszyć, uspokoić reakcji swojego ciała.

Napawał się bijącym od niej ciepłem, zapachem jej włosów, aż nagle...

Łup! Ten cios kazał im się cofnąć o krok.

– Prze...przepraszam... – bąknęła.

– To chyba nie ty powinnaś przepraszać – mruknął. Gwałtowny ruch jej dziecka kazał mu się od niej odsunąć. Dosłownie i w przenośni. Co mu chodzi po głowie?!

Opieka nad ciężarną... Nie, nie i jeszcze raz nie. Opuściła wzrok na swój nadal poruszający się brzuch.

– Ale ma siłę... – zaryzykowała.

– Nie przeczę.

Z trudem utrzymywał w ryzach emocje. Ile to już czasu minęło, odkąd czuł ruchy dziecka w brzuchu? Zrobiło mu się... Nie, nie wolno o tym myśleć.

– Może chciał pokazać, że nic mu się nie stało – wykrztusił, uśmiechając się sztucznie.

– Możliwe – powiedziała speszona. – To niewybaczalne. Jak mogłam pomyśleć, że chcesz odjechać?

– Nie obiecywałem, że zostanę. To ja przepraszam. Ale dostałem za to kopa. Od kogo?

– Od Archibalda.

– Naprawdę? – Teraz czuł, że jego uśmiech jest absolutnie szczery. Dzielna kobieta. – To już postanowione?

– W zeszłym tygodniu wytrącił mi z ręki kubek z herbatą – wyjaśniła chłodno. – Przez dziesięć minut musiałam lać zimną wodę na brzuch, żeby pieczenie ustało. Do tego incydentu miała to być Chloe albo William, ale to przeszłość. Będzie Archibald.

– Po ojcu? – Bardzo mu zależało na tym, by zabrzmiało to obojętnie.

– Po ojcu miał być William, ale wyparł go Archibald. – Odsunęła się, jakby wzmianka o ojcu dziecka przywołała ją do porządku. – Przepraszam – wyszeptała.

– Ja też przepraszam, więc przestańmy się przepraszać i bierzmy się do roboty. Zawiozę cię do szpitala.

– Do szpitala nie pojedę, bo muszę wracać do babci. To niedaleko. Gdyby nie noga, poszłabym piechotą.

Tak. Jakie to proste! Zawiezie ją do domu i wytłumaczy rodzinie, że konieczne są badania szpitalne. Mówiła, że babcia jest chora, ale jak jest babcia, to są też inni. Przekaze ją im i na tym skończy się jego koszmar.

– Cielaki się nie pogubią – myślała głośno. – Z pomocą Bonnie Angus przyprowdzi je do domu.

Hura, mamy Angusa! Oraz Williama i babcię. Cała rodzina. Coraz lepiej.

Ona jednak wyraźnie opada z sił, a on marnuje czas.

Pomimo jej protestów zaniósł ją do auta, zaskoczony po raz kolejny tym, jaka jest lekka. Czy to jest normalna ciąża?

To nie twój problem. Do ciebie należy wyłącznie udzielenie jej pomocy. Ona ma swojego położnika.

Postępuj jak profesjonalista i zachowaj dystans.

Gdy niósł ją do auta, owiał go jej cytrusowy zapach, a włosy łaskotały w twarz. Rude kosmyki wysuwały się z warkoczy, a on czuł nieodpartą chęć ich rozplecenia.

Co go opętało? To pacjentka. Precz z głupimi myślami o tym, jak pachnie i jak by wyglądała z rozpuszczonymi włosami.

– Może byśmy się sobie przedstawili? – zaproponował, ułożywszy ją na tylnym siedzeniu.

– Maggie Maria Croft.

– Maxwell Harvey Ashton.

– Doktor Ashton?

– Wystarczy Max, zapomnijmy o Harveyu. Mam też nadzieję, że doktor nie okaże się potrzebny. Ale jak będzie trzeba... – Zawahał się. – Jeśli rodzina nie może się tobą zająć, zawiozę cię do Gosland, a nawet do Sydney.

– Dziękuję. To nie będzie konieczne. Wystarczy, że podwieziesz mnie na farmę, dalej sama wszystkim się zajmę.

TTLR

ROZDZIAŁ DRUGI

Pięć minut później przejechał przez bramę farmy i znalazł się na cmentarzysku. Cmentarzysku ciągników.

Od bramy do zabudowań jechało się aleją eukaliptusów, a w cieniu ich koron stały rzędy ciągników ze wszystkich epok, kilka z nich wręcz średniowiecznych.

– O rany – sapnął, zwalniając, by się im lepiej przyjrzeć. Niektóre dałoby się uruchomić. Na korbę. Nie miałby nic przeciwko temu. Kilku brakowało kół, z innych zostały tylko szkielety. – William zbiera ciągniki? – zapytał.

– Angus i babcia. Babcia kupiła pierwszy ciągnik, jak miała piętnaście lat. Podobno wymieniła go za swoją wyjściową sukienkę. Nie działał już wtedy i teraz też nie działa, ale babcia nadal uważa, że zrobiła świetny interes.

– Kobieta z charakterem.

– Można tak to ująć – mruknęła niechętnie. – Albo uparta jak osioł. Zależy, jak na to patrzeć.

W lusterku wstecznym dostrzegł jej pochmurną twarz. Jej smutek sprawił, że miał ochotę zatrzymać się, by ją pocieszyć. Mocniej zacisnął palce na kierownicy.

Ty się nie angażujesz, upomniał się w duchu. Ta kobieta ma męża i jest w ciąży, ale od śmierci Alice żadna kobieta nie poruszyła w nim tych strun. Czy to on uderzył się w głowę? Chyba oszalał.

Na końcu podjazdu stało mocno sfatygowane combi z podniesioną maską. Skupił się na nim.

– To jest to twoje auto? Czym pojedziesz do szpitala?

– Masz coś przeciwko ciągnikom?

Odważna kobieta, z poczuciem humoru. I nie tylko.

– Nic mi nie będzie – ciągnęła. – Dzięki, że podwiozłeś mnie do domu. Dam ci numer mojego prawa jazdy, żeby nasi ubezpieczyciele mieli co robić.

Koniec. Został zwolniony. Może wracać do Sydney. Jeszcze godzinę wcześniej nie marzył o niczym więcej.

Wydawało mu się, że Yandilagong jest na końcu świata i nie po raz pierwszy się zastanawiał, co mu strzeliło do głowy, by dać się namówić zgrai ambitnych medyków do wyjazdu w te ostępy.

– Będzie super – mówili. – Festiwale muzyczne są na topie, a na tym będzie mnóstwo gwiazd.

Od przyjazdu do Australii był wielokrotnie zapraszany na przeróżne imprezy, ale zawsze się wykręcał, bo po śmierci Alice poświęcił się pracy. Teraz miał tyle pacjentek oraz wykładów, że ledwie zipsał.

Tydzień wcześniej, ćwicząc w szpitalnej siłowni, by ze zmęczenia zasnąć od razu, poczuł, że jest u kresu sił.

Więc zgodził się pojechać na ten festiwal, ale ani on, ani jego koledzy nie mieli pojęcia, że jest to impreza rodzinna. Mamuśki, tatuśkowie i babcie uczyli dzieci tańczyć. Jego przyjaciele, ludzie poślubieni karierze zawodowej, byli przerażeni.

– Mamy szczęście, że się w to nie wpakowaliśmy – powtarzali raz po raz.
– Komu to do szczęścia potrzebne?

Oczywiście nie jemu. Więc dlaczego tak zaboląły go ich słowa? Tego dnia stwierdzili, że mają dosyć muzyki oraz dzieci, i wybrali się na wycieczkę do winnicy. Na szczęście zadzwonił jego anestezjolog z Sydney. Przywieziono śmigłowcem kobietę z interioru z komplikacjami po histerektomii. Max, kiedy wracasz?

Z takim przypadkiem poradziłby sobie jego zastępca, ale on się nie wahał. Od razu mu ulżyło. Od sześciu lat był sam i bardzo mu to odpowiadało.

Teraz też chciał być sam, ale znalazł się na cmentarzysku ciągników, a z jego auta gramoliła się kobieta w zaawansowanej ciąży. Nie zostawi jej, dopóki nie przekazuje jej komuś odpowiedzialnemu.

– Kto tu jest?

– Babcia.

– Ale ona jest chora?

– Tak.

– To gdzie jest William?

– William był moim mężem – odparła bezbarwnym tonem. – Nie żyje.

– Nie żyje – powtórzył głucho. To stąd ten smutek.

– Umarł dawno temu, nie musisz mi składać kondolencji.

Chyba wcale nie tak dawno, biorąc pod uwagę jej brzuch. Alice nie ma już sześć lat, mimo to on... Lepiej o tym nie myśleć.

– Kim jest Angus?

– Wujem Williama.

– W jakim wieku?

– Sześćdziesiątka.

– Zaopiekuje się tobą?

– Najbardziej się ucieszysz, że będzie mógł przyprowadzić cielaki. Bonnie jest jego psem. Angus zaraz tu się zjawi z pytaniem, co zrobiłam z Bonnie. Zatem dziękuję panu, doktorze. Teraz już sama sobie poradzę.

Odsyła go.

Od czterdziestu ośmiu godzin marzył tylko o tym, by wydostać się z Yandilagong. I nadal mu na tym zależało. Ale najpierw musi się upewnić, czy Angus jest wiarygodny i odpowiedzialny. Bo Maggie jest coraz bledsza.

Odklejone łożysko? Krwawienie? Te podejrzenia nie dawały mu spokoju. Od sześciu lat trzymał się z dala od położnictwa, ale nie zapomniał, co

wypadek samochodowy może zrobić z łożyskiem. Archibald go kopnął. To dobry znak, ale on potrzebuje ich więcej. Chciał posłuchać jego tętna oraz nabrać pewności, że Maggie znajdzie się w szpitalu.

Nie może jej zostawić. Nawet gdyby mógł...

– Nie będziesz szła – warknął i nim zdążyła zaprotestować, ponownie wziął ją na ręce.

Ruszył przez ogród pełen róż, wiciokrzewów i jaśminów, które aż huczały od pszczół. Ogród wyglądał na zaniedbany, a mimo to był piękny. Sam dom też wymagał remontu, ale sprawiał wrażenie przestronnego i przytulnego.

Po raz kolejny poczuł skurcz serca. Jakby wracał do rodzinnego domu. Absurd. Pierwszy raz widzi taki dom. Gdy wszedł na werandę, Maggie mu się wyrwała.

– Dziękuję. – Przestraszona? – Już sobie poradzę. Boi się? Czuje to samo co on?

Nie miał właściwie pojęcia, co czuje.

– Pod warunkiem że za tymi drzwiami jest ktoś, kto zrobi ci herbatę, a potem czymś, co nie jest ciągnikiem, odwiezie cię do szpitala – rzekł surowym tonem. – Obiecujesz?

– Nie mogę – odparła. – Nie mam wyboru. Nie mogę zostawić babci.

– Więc i ja ciebie nie zostawię.

– Maggie, to ty? – dopytywał się zrzędlawy głos. Nie czekając na przyzwolenie, Max otworzył drzwi.

Pierwsze, co rzuciło mu się w oczy, to wielki otwarty kominek, a w nim ogień, czerwono-szafirowo-żółty dywan, rozłożyste kanapy oraz dwa wazony na półce nad kominkiem z ogromnymi bukietami róż i jaśminu. Pokój jako przedłużenie ogrodu. Gdy jego wzrok oswoił się z innym oświetleniem, na

jednej z kanap dostrzegł babcię, wychudzoną kobiecinę pod kilkoma pledami. Zaniepokojona spoglądała w stronę drzwi.

– Babciu, nie denerwuj się – odezwała się Maggie zza jego pleców. Chciała go wyminąć, ale stanęła na chorej nodze i się zachwiała, więc przyciągnął ją do siebie.

Całkiem niespodziewanie babcia wychyliła się z kanapy po pogrzebacz, ale z braku sił opadła na poduszki, rozpaczliwie wymachując pogrzebaczem.

– Puść ją! – zacharczała, a Max poczuł, że Maggie aż się skurczyła i znowu próbowała się uwolnić.

Nie przejmując się pogrzebaczem, podprowadził Maggie do drugiej kanapy.

– Babciu, on mi pomaga. Odłóż pogrzebacz – powiedziała cicho Maggie, już wyraźnie rozluźniona. Znalazła się na swoim terytorium.

– Co on tu robi?

– To jest doktor Ashton. – Skrzywiła się z bólu. – Lekarz. Akurat teraz, kiedy jest nam tak potrzebny.

– Potrzebujesz lekarza, ale nie mnie. – Max dołożył dREW do kominka. Dzięki Bogu, babcia przestała wymachiwać pogrzebaczem. – Maggie, musisz pojechać do szpitala.

– Nie muszę.

– Trzeba zbadać dziecko.

– Nie zostawię babci. Oślucham je sama na tej kanapie.

– Masz słuchawki?

Starsza pani pieszczotliwie gładziła pogrzebacz, jakby miała ochotę go użyć.

– Tak.

– Jesteś pielęgniarką?

– Lekarzem.

– Lekarzem?

– Nie wszyscy chodzą w białych fartuchach – odcięła się. – I nie wszyscy mają eleganckie skórzane kurtki oraz sportowe auta.

– Maggie, co się tu dzieje? – Babcia znowu próbowała usiąść, z trudem łapiąc powietrze.

– Doktor Ashton rozbił naszego pikapa.

– A cielęta?! – przeraziła się babcia. Ale Maxowi nie cielęta były w głowie. Maggie jest lekarzem.

– Jesteś lekarzem i masz słuchawki?

– Babciu, cielakom nic się nie stało. Maggie zignorowała jego pytanie. – Bonnie ich pilnuje. – Dopiero teraz zwróciła się do Maxa. – Tak, w moim aucie jest cały zestaw. Są tam leki na wszystko, od tyfusu po ukąszenia węży. Będę wdzięczna, jak przyniesiesz mi stetoskop.

W jej spojrzeniu wyczytał przekorę zmieszaną ze strachem.

– Obydwie was zawiozę do szpitala.

– Po moim trupie – odezwała się z kanapy babcia.

– Pani Croft...

– Betty – poprawiła go.

– Betty, nie wiem, co ci jest...

– Umieram.

– Wszyscy umrzemy – odrzekł spokojnym tonem. Nie będzie darł szat. – Jedni prędzej, drudzy później. Domyślam się, że jesteś chora i wiem, że twoja wnuczka...

– Wnuczka przyżeniona.

– Tak, wnuczka przyżeniona... Maggie miała wypadek, więc trzeba zbadać jej dziecko. Jedyнным sposobem, żeby upewnić się, że łożysko nie jest

uszkodzone, jest USG. Betty, bardzo ci współczuję, ale jako lekarz muszę myśleć o priorytetach. Czy mamy prawo ryzykować życie dziecka, bo ty nie chcesz pojechać do szpitala?

– Niczego nie ryzykujemy – odezwała się Maggie.

– Jeżeli naprawdę jesteś lekarzem, to wiesz doskonale, że wystawiasz swoje dziecko na ryzyko.

Widział jej rozterkę i strach, ale ona starała się to ukryć. Dlaczego?

– Nie mamy czasu do stracenia – nalegał. – Powinienem był już na samym początku postawić na swoim.

– Mogę zrobić USG.

– Co, tutaj?

– Tak, ale nie sama sobie. W samochodzie mam wszystko, co potrzebne. Zdaję sobie sprawę, że to wykracza... ale gdybyś zechciał pomóc... Babcia ani ja nie chcemy znaleźć się w szpitalu. Jeżeli okaże się to bezwzględnie konieczne, to jasne, że pojedę, ale muszę myśleć również o Angusie, a on będzie przerażony. Max, proszę, zrobisz mi USG, żebym miała pewność, że nic złego się nie dzieje?

– Dlaczego Angus będzie przerażony?

– Angus to mój syn, niepełnosprawny – wyjaśniła cicho babcia. – Zespół Aspergera. On nie umie... stroni od ludzi. Umarłby, gdyby wyjechał z farmy. To przez niego zmusiłam Maggie do przyjazdu na farmę. Obiecała, że ze mną zostanie i dotrzyma słowa. Maggie to dobra dziewczyna.

– Najważniejsze jest moje dziecko – mruknęła Maggie. Sprawiała wrażenie osoby, która znalazła się w potrzasku, a w jej oczach znowu pojawił się smutek.

– Tak, ale jemu nic nie będzie. I oboje zaopiekujecie się Angusem i farmą
– mówiła babcia. – Czuję, że stąd nie wyjedziesz. Dotrzymasz słowa.
Zostaniesz tu na zawsze.

TTLR

ROZDZIAŁ TRZECI

Oblęd. Maggie nie zostawi babci i Angusa, ale może mimo to jego obowiązkiem jest zawieźć obie do szpitala? Babcię musiałby skuć łańcuchem. Poza tym nie miał pojęcia, jak jest wyposażony szpital w Gosland, a długa podróż do Sydney nie wyszłaby im na dobre.

Z kolei opieka domowa nad ciężarną po wypadku...

I to, że akurat on musi zbadać dziecko...

Z werandy na tyłach domu, w drodze po rzeczy z jej auta, zatelefonował do Antona, anestezjologa, by mu powiedzieć, że do kobiety z powikłaniami należy wezwać jego bardzo uzdolnionego zastępcę.

Żeby złapać oddech i pozbierać myśli, przez chwilę spoglądał na rzekę meandrującą do morza.

Maggie zgodziłaby się na szpital, gdyby istniało realne zagrożenie dla dziecka. Czuł to. Obydwie by się zgodziły. Ale rozpacz w oczach staruszki i strach malujący się na twarzy Maggie sprawiły, że zdecydował się zostawić je na farmie. Teraz wystarczy znaleźć ultrasonograf Maggie i wrócić do roli położnika.

Nie, zbadanie jednego dziecka nie czyni lekarza położnikiem. Nawet nie będzie odbierał porodu. Ma tylko sprawdzić, czy dziecko jest zdrowe, a potem wróci do Sydney, do ginekologii, do chirurgii, co nie naraża go na żadne zaangażowanie emocjonalne.

Nie można mu zarzucić, że nie dba o pacjentki. Poprawia jakość ich życia. Czasem nawet ratuje od śmierci. Po prostu przestał zajmować się ciężarnymi. Poza tą jedną.

Oblęd. Powinien się był od tego wymigać, ale Maggie tak na niego patrzyła...

Trudno o bardziej szalony powód, ale mu uległ.

Nie angażuj się, upomniał się w duchu. Trzymaj się profesjonalizmu. Znajdź ten ultrasonograf, sprawdź, czy wszystko jest okej, a potem w drogę. Badanie ultrasonografem to nic wielkiego. Maggie nie oczekuje, że odbierzesz poród.

Wtedy uciekłyby gdzie pieprz rośnie.

– On rzeczywiście jest lekarzem?

– Mówi, że jest, i wyraża się jak lekarz.

Kominek grzał przyjemnie, ale Maggie nadal miała dreszcze. Zwykła reakcja po wypadku, pomyślała. Nic więcej. To nie jest wstrząs wywołany krwawieniem wewnętrznym.

Musi zapanować nad strachem. Gdzie jest Max?

Nagle wyobraźnia podpowiedziała jej, że tym swoim pięknym autem Max już pędzi w stronę Sydney. Zrobiło jej się ciemno przed oczami. Ale tym razem za nim nie wybiegnie. Ufa mu. Nie ma wyjścia.

– Gdzie są moje cielaki? – zaniepokoiła się babcia.

– Klatka zsunęła się z przyczepy, a cielaki zbiegły na plażę. Bonnie ich pilnuje.

– Jesteś pewna, że nic im się nie stało?

– Jestem pewna. – Oby to była prawda.

– Skąd wiesz? To nieodpowiedzialne. Miałaś przewieźć je ledwie dziesięć mil – zrzędziła babcia.

Maggie uważnie się jej przyjrzała.

– Bardzo boli? Od jeden do dziesięciu.

– Trzy.

– Betty...

– No dobrze, osiem.

– Musisz się zgodzić na pompę strzykawkową. –Taka pompa pozwala na ciągle podawanie morfiny, eliminując czterogodzinny cykl ból–ulga–sen–ból. Betty nie wyrażała na to zgody, bo chciała świadomie przeżywać każdy etap choroby, i teraz też nie zamierzała się poddać.

– Za kilka minut wezmę procha.

– Weź teraz. Dwa.

– Jak będę wiedziała, że naszemu dziecku nic się nie stało. Maggie...

– Jest zdrowy. – Maggie wychyliła się z kanapy, by podać jej rękę. Dłoń staruszki była zimna. Drżała.

Moja pewnie też, pomyślała Maggie.

Człowieku z ultrasonografem, pospiesz się. Max. Lekarz jej dziecka. I nie tylko.

Max. Niósł ją na rękach, przy nim czuła się bezpieczna. Wspomnienie tych doznań zagrażało jej niezależności. Co gorsza, sprawiało, że chciało się jej płakać.

Otworzył bagażnik, spodziewając się zobaczyć podstawowy zestaw medyczny, tym bardziej że nadal trudno było mu uwierzyć, że Maggie jest lekarzem. To, co ujrzał, przeszło jego oczekiwania.

Co powiedziała na miejscu zderzenia? Że pikap jest karetką? Niewykluczone, bo między półkami leżały nosze, do których przyspawano składane nogi z kółkami. Bardzo wąskie, ale poza tym takie same jak szpitalne.

Trudno było nie znaleźć USG, ponieważ stała tam czerwona skrzynka z napisem „Ultrasonograf. Bardzo praktyczne, pomyślał. Bo gdy lekarz jest w akcji, może polecić pierwszemu z brzegu gapiowi: „Proszę przynieść czerwoną skrzynkę z takim to a takim napisem”. Wszystkie skrzynki były przymocowane tak, by w każdej chwili można je było bez trudu szybko wyjąć.

Wyobraził sobie nagły przypadek, na przykład dziecko z zaburzeniami oddechu. W tak zorganizowanym wnętrzu Maggie mogła swobodnie zdejmować potrzebne skrzynki, ratując chorego, a kto inny mógł kierować karetką, aż dojadą do szpitala. Skromnie ale praktycznie. Doktor Maggie jest doskonale zorganizowana.

On też musi się zorganizować. Sięgnął po ultrasonograf oraz po skrzynkę z napisem „Ból/Znieczulenie” i już miał zawrócić, ale przypomniawszy sobie, z jakim trudem babcia oddycha, chwycił również butlę z tlenem.

Rozluźniły uścisk, gdy wrócił do pokoju. Do tej pory wyczuwał jedynie napięcie, ale teraz stało się jasne, że te kobiety łączy silna więź. Emocjonalna i fizyczna?

Czy babcia naprawdę jest umierająca? Przyjrzał się jej uważnie. Była przeraźliwie chuda, jakby już dawno straciła zainteresowanie jedzeniem, miała twarz ściągniętą bólem, a wzrok... Już kiedyś to widział. Skierowany do wewnątrz.

- Berty trzeba wstrzyknąć morfinę – oznajmiła Maggie, nim się odezwał.
- Proszę. Dziesięć miligramów. Wszystko jest w torbie.
- Dziecko...
- To tylko jeden zastrzyk. Betty bardzo cierpi.
- Diagnoza? – zwrócił się bezpośrednio do chorej.
- Przerzuty do kości – wyszeptała. – Rak jajnika wykryty dziesięć lat temu. Czułam, że mnie wykończy.
- Maggie jest twoim lekarzem prowadzącym?
- Tak, od kiedy nie jestem w szpitalu. Nią się zajmij. Ja wytrzymam.

Ale on już nabierał morfinę do strzykawki pod baczny spojrzeniem obu kobiet. Czuł się jak mysz między dwoma jastrzębiami. A może jak jastrząb między myszami?

– Wyrażasz zgodę? – Nie spuszczał wzroku z Betty. Jednocześnie czuł za plecami napięcie Maggie.

– Tak.

Przy okazji zbadał puls. Słaby, nieregularny. Gdyby miała czterdzieści lat, natychmiast wezwałaby pomoc, na siłę przewiózł do szpitala, poruszyłby wszystkie znajomości, by ją ratować, ale język jej ciała mówił, że ona doskonale wie, co się dzieje. Gdy uciskał miejsce iniekcji, ujęła jego dłoń i trzymała ją przez kilka chwil.

– Dziękuję – szepnęła. – Teraz Maggie.

– Teraz Maggie – powtórzył, na co Maggie pokazała mu, gdzie za kanapą jest kontakt.

– Możemy to zrobić tutaj.

– Nie wolisz na osobności?

– Babcia nie dozna szoku na widok skrawka mojego ciała. – Uśmiechnęła się blado. – A tu jest ciepło. – Zadrzała.

Powstrzymał się od komentarza, bo i ona wie, że przyczyną dreszczy może być wstrząs. Krwotok wewnętrzny? Boże, nie.

– Miałeś już z czymś takim do czynienia?

– Nie z przenośnym.

– To żadna różnica.

Faktycznie. Ustawił aparat na stoliku tuż przy jej brzuchu. Miała na sobie dzinsy z elastyczną górą oraz luźną kurteczkę, którą można było rozpiąć. Przykląkł obok niej. Gdy odsłaniała brzuch, dostrzegł w jej oczach lęk. Przydałoby się zmierzyć jej ciśnienie, pomyślał, i policzyć tętno, ale na pewno jest wysokie i takie się utrzyma, dopóki USG nie rozwieje obaw. Drży z powodu wstrząsu czy ze strachu? Pewnie ze strachu.

Wsluchiwał się w tętno dziecka.

– Jak? – zapytała szeptem, a on spojrzał na nią. Uświadomił sobie przy tym, że na jego twarzy malują się wszystkie emocje. Ile to już lat, od kiedy to robił? A ostatnie dziecko, którego słuchał...

– Fantastycznie – odparł szybko, co sprawiło, że mu nie dowierzała. Nie potrafił zapanować nad swoją twarzą, więc otoczył Maggie ramieniem, pomógł jej usiąść, po czym podał jej stetoskop. W miarę jak nasłuchiwała, jej rysy łagodniały. Co dziwniejsze, on też się rozluźniał, ale nie miało to wiele wspólnego z prawidłową pracą serca dziecka. Trzymał ją, czuł, jak opada jej napięcie, jak jej ciało dotyka jego ciała. Tak samo jak... Nie.

– Zrobiłeś taką minę, jakby działo się coś złego – powiedziała półgłosem.

– Nic złego się nie dzieje.

– To dlaczego...?

– Nie wiem. Teraz USG. – Wypadło to bardziej szorstko, niż zamierzał, ale ona kiwnęła głową i opadła na poduszki.

– Mam wyjaśnić, jak to działa?

– Nie trzeba.

– Ale...

Okej, nadeszła chwila prawdy.

– Maggie, nie jestem chirurgiem ogólnym. – Nie miał ochoty na takie wyznania, ale skoro wpadł jak śliwka w kompot, to pójdzie na całość. – Jestem ginekologiem.

– Ginekologiem?

– Tak. Szefem ginekologii w Sydney South. – Uśmiechnął się gorzko, po czym przeniósł wzrok na babcię. – Gdyby raka Berty wykryto teraz, a nie dziesięć lat temu, pewnie można by jej pomóc.

Szukał pojemnika z żelem, a Maggie patrzyła na niego, jakby miał dwie głowy.

– Chirurg ginekolog. – Nie posiadała się ze zdumienia. – W tym kraju, żeby być ginekologiem, trzeba być również położnikiem.

– Przyjechałem z Anglii. Ale masz rację, to też studiowałem.

– Położnik? – Wydawało mu się, że Betty zasnęła, ale nagle otworzyła oczy. – Położnik bardzo by się nam przydał.

– Nie jestem położnikiem. – Zabrzmiało to zdecydowanie za ostro. – Pracuję z kobietami, które mają problemy ginekologiczne wymagające chirurga.

Berty uśmiechała się.

– Tylko tego nam brakowało – mówiła. – Teraz mamy wszystko. O, Maggie...

– Ani mi się waży rezygnować. – Zabrzmiało to bardzo groźnie. Betty chciała machnąć ręką, ale brakło jej sił, więc tylko opuściła powieki.

– Skup się na dziecku – powiedziała. – Na synku Williama.

Max z coraz większym niepokojem obserwował postępującą błądź babci, ale musiał skoncentrować się na Maggie.

– Okej. Posmarujemy żelem i zobaczymy, co się tam dzieje.

Leżała z zamkniętymi oczami. Tak, musi poznać wynik badania, ale jest potwornie zmęczona. Najchętniej zasnęłaby na dwadzieścia cztery godziny.

Marzenie ściętej głowy.

Gdzie jest Angus? I jak z chorą nogą oraz babcią poradzi sobie z pacjentami? Nie da rady. Wiedziała, że przed rozwiązaniem czeka ją kilka tygodni wytężonej pracy, ale z takim kolanem i przy krytycznym stanie babci...

Jak na zawołanie ktoś zadzwonił do drzwi. Musiała się mocno postarać, by nie jęknąć. Max rzucił jej pytające spojrzenie.

– Nie przestaną dzwonić, dopóki im ktoś nie otworzy.
– Kto to jest?
– Pewnie jakiś pacjent. Miejscowi wiedzą, gdzie mieszkam. Muszę im otworzyć. – Zaczęła się podnosić.

– Nigdzie nie pójdziesz. – Oburzył się, że coś takiego przyszło jej do głowy. Pchnął ją z powrotem na poduszki, czym sprawił jej ogromną ulgę.

Wziął sprawy w swoje ręce. To dobrze, nawet jeśli na krótko, pomyślała. Ona ma za dużo na głowie. Przyniósł ją do domu, zajął się babcią, a teraz ją bada.

Dzięki niemu może leżeć na kanapie i sobie wyobrażać, że ten despota uwolni ją od wszystkich trosk. Zbada dziecko, zapewni, że jest zdrowe, postara się ulżyć babci, pocieszy Angusa, zaopiekuje się pacjentem, wyprostuje jej życie...

Aha, chciałabyś... Na razie kazał jej leżeć. Nie odważyła się zamknąć oczu z obawy, że świat zniknie.

Nie jest na to przygotowana. Jeszcze nie. Znikający świat jest dla Betty. Jednak nie miałyby nic przeciwko temu, żeby zniknęło także dziewięćdziesiąt procent jej świata.

Stary, nie trać czasu. To USG jest pilne. Otworzysz drzwi i powiesz temu komuś, że musi poczekać, a potem wrócisz do pacjentki, do Maggie.

Kiedy otworzył drzwi, jego oczom ukazała się cała delegacja: matka, ojciec, kilkuletni chłopiec uczepony matczynych spodni i niemowlę.

– Mała jest przeziębiona – rzekł mężczyzna szybko, jakby się obawiał, że Max zatrzaśnie mu drzwi przed nosem. – Wszyscy byliśmy przeziębieni, ale ona przechodzi to najciężej. I zrobiła się cała wiotka. Teraz wygląda dobrze, ale żona bardzo się przestraszyła, więc tu przyjechaliśmy. Czy pani doktor może ją obejrzeć?

Koszmar. Mógłby ich odesłać.

Maggie powiedziała, że jej pikap jest karetką. Czy to znaczy, że jest też jedynym lekarzem w okolicy?

Kobieta i mężczyzna wyglądali na przerażonych.

Popatrzył na niemowlę. Było tak pozawijane w kocyki, że praktycznie nie było go widać.

– Długo była bezwładna? – zapytał.

– Chwilę – poinformował go mężczyzna. – Oglądałem z synem telewizję, a żona karmiła ją w sypialni. Zawołała mnie, ale zanim przybiegłem, mała już była normalna. Żona wpadła w panikę, więc opatuliliśmy małą i przyjechaliśmy prosto do doktor Maggie.

– Okej, proszę ją rozwinąć – rzekł niechętnie. Odwrócił się w stronę salonu i zawołał: – Gdzie tu jest łazienka?

– Przyjść do was? – zapytała Maggie.

– Nie ruszaj się – warknął. – Gdzie jest łazienka?

– W holu po prawej – odrzekła lekko zdziwionym tonem.

Popatrzył na niemowlę, a dotknąwszy jego policzka, stwierdził, że jego podejrzenia się sprawdziły.

– Idziemy do łazienki – rzekł do rodziców. – Rozbierzcie ją do naga i zanurczcie w letniej wodzie. Letniej, nie zimnej i nie cieplej. Ona ma wysoką temperaturę. Domyślam się, że były to drgawki gorączkowe, więc jak najszybciej należy ją ochłodzić. Trzymajcie ją w wodzie, dopóki do was nie przyjdę. W drugim pokoju mam nagły wypadek.

– Ale doktorze – odezwał się mężczyzna – przyjechaliśmy do doktor Maggie.

– Ten drugi przypadek to doktor Maggie – odparł. – Ja też jestem lekarzem, innego tu nie ma. Muszę się nią zająć.

– Skąd mamy wiedzieć, że jest pan lekarzem? – denerwował się mężczyzna. – My chcemy Maggie.

– Pete – odezwała się kobieta, zaglądając Maxowi przez ramię do salonu.
– Maggie jest w ciąży. Jeżeli coś jej się stanie, cała okolica będzie miała problem. Dzięki Bogu, że znalazł się drugi lekarz. Cicho bądź i rób, co ci każe.

Betty spała, a Maggie leżała na kanapie. Była blada i wyglądała na wyczerpaną.

– Drgawki?

– Na to mi wygląda – odparł. – Pójdę do nich, dopiero jak was zbadam. –
Jeśli będzie zwlekał, a to jest krwotok...

I nagle zapanował spokój. Badania ultrasonograficznego nie można przyspieszyć. Rozprowadził żel na brzuchu Maggie, ustawił sondę i rozpoczął systematyczne badanie.

Na ekranie pojawiały się kolejne obrazy. Maggie też się w nie wpatrywała. Nie musiał jej nic wyjaśniać.

To po prostu kolejne dziecko w łonie matki. Więc dlaczego serce tak mu się ściska?

Jeszcze jedno dziecko...

Nie ma wyjścia, musi zachowywać się profesjonalnie. Więc zaczął od łóżyska, szukając oznak uszkodzenia.

Nie znalazł. Potem serduszko. Puk, puk, puk.

Maleńka zaciśnięta piąstka. Doskonale uformowana rączka. Cud. Tak jak wtedy...

Nie. Zamrugał nerwowo. Kurczę, powinien panować na emocjami. Gdyby Maggie go obserwowała...

Ale ona była wpatrzona w ekran, a po policzkach spływały jej łzy. Uśmiechała się.

– Zdrowy – wykrztusiła.

– Myślałaś, że będzie inaczej?

– Nie należy myśleć. Gdybym nie była lekarką, nie myślałabym. Nawet nie wiedziałabym o pękniętych łożyskach. Czułabym, że kopie i uważałabym, że jest zdrowy.

– Twoje dziecko jest zdrowe – powtórzył z naciskiem, bezwiednie ocierając jej łzy z policzka. Dobrze, że w ręce trzymał sondę, bo nagle poczuł nieodpartą chęć ją objąć, by z jej twarzy zniknął wyraz bezgranicznego zmęczenia.

Ta kobieta jest taka samotna...

– Kiedy umarł twój mąż? – zapytał cicho.

– Trzy lata temu. Znieruchomiał.

– Najdłuższa ciąża w historii świata. – Nie spuszczać wzroku z ekranu, uśmiechnęła się blado. – William miał chłoniaka nieziarniczego. Zanim rozpoczął chemię, oddał nasienie. Na początku nawet nie chciałam o tym myśleć, ale z czasem poczułam, że należy to zrobić. Upłynęło sporo czasu, zanim się zdecydowałam, zanim opiekując się Betty, uwierzyłam, że jestem silna. Zdaje się, że to się okazało iluzoryczne. – Przygryzła wargę. – Ale jest dobrze. Najważniejsze, że dziecko jest zdrowe. Milczał. Oboje wbili wzrok w ekran.

– Powiedziałaś, że dasz mu na imię Archibald... – zaczął ostrożnie, bo wiedział, że ona widzi, to samo co on. – Mogą z tego wyniknąć różne problemy. Niepospolite imiona są teraz modne, ale...

– Dziewczynka. Moje dziecko jest dziewczynką...

– Nie wiedziałaś?

– Ostatnie USG robiłam w trzecim miesiącu. Ale od początku założyłyśmy z Betty, że to będzie chłopiec.

– Dlaczego?

– Dlatego, że Betty ma niebieskie łóżeczko i od lat robi na drutach niezliczone niebieskie kaftaniki. – Z uśmiechem wpatrywała się w niepodważalny dowód jaśniejący na ekranie. – Nie mów Betty – szepnęła.

– Myślisz, że będzie niezadowolona?

– Ona tak bardzo chce chłopca, że lepiej nic nie mówmy. – Jej uśmiech zgasł. – Myślisz, że zdąży go zobaczyć?

Spojrzał na Betty. Spała, ale było to coś głębszego niż sen, mimo że dawka morfiny, którą jej zaaplikował, nie powinna wywołać tak głębokiej utraty świadomości. Ujął jej nadgarstek. Miała skórę spierzchniętą i suchą, puls nitkowany i zimne palce.

– Ona jest odwodniona – stwierdził. – Należałoby zbadać krew. Ma zaburzenia transportu tlenu?

– Podejrzewam, że tak. Od tygodni zgadza się brać tylko środki uśmierzające. Ale niech tak zostanie. Takie jest jej życzenie. Teraz, kiedy wiem, że dziecko jest zdrowe... Zajmij się jeszcze nimi, zanim odjedziesz.

– Kim?

– Tymi, których posłałeś do łazienki.

Nie zapomniał o nich, ale myślał o czymś innym.

– Mam taki plan... Zbadam tego niemowlaka, opatrzę ci głowę i kolano, przez noc upewnię się, że nie masz problemów z głową, a rano się zorientuję, gdzie można zrobić ci prześwietlenie. Dopóki tego wszystkiego nie zrobię, nie wyjadę z Yandilagong.

Przez dłuższą chwilę przyglądała mu się w milczeniu, po czym zamknęła oczy, a on pomyślał, że będzie zła.

Ale ona tylko podniosła powieki, a w jej oczach zobaczył wyraz bezgranicznej ulgi. Odmłodziła, jakby z ramion spadł jej ogromny ciężar. Obiecał jedną noc, ale jej oczy mówiły, że to zdecydowanie więcej.

– Dziękuję – wyszeptała. —Nie masz pojęcia, jak bardzo mi zależy, żebyś został. – Uścisnęła mu rękę.

Dokończył badanie USG. Na ten wieczór zaspokoił potrzeby Maggie. Teraz niemowlę w łazience.

Mimo to nie ruszył się z miejsca. Patrzył jej w oczy, a ona trzymała go za rękę.

To nie było zwyczajne dotknięcie dwóch rąk. Czuł, jak sieć, z której przez lata chciał się wyswobodzić, po raz kolejny coraz mocniej oplata jego serce.

Ta kobieta jest w ciąży. Ta kobieta to wszystko, od czego on ucieka. Mimo to nie potrafił cofnąć ręki.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Letnia kąpiel się sprawdziła. Kiedy w końcu zajrzał do łazienki, zastał tam całkiem szczęśliwą rodzinę.

– Bardzo by się nam przydało dwóch lekarzy – zauważyła kobieta, kiedy odprowadzał ich do samochodu. Tym razem dziewczynka była owinięta tylko w bawełnianą pieluchę. – Dawniej mieliśmy doktora Sharrandona, ale uciekł, jak tylko zjawiała się Maggie. Więc zamiast jednego sędziwego lekarza, mamy ciężarną lekarzkę. Nie narzekamy, broń Boże. Maggie jest kochana, ale to ponad jej siły.

Bezsprzecznie.

Wracając do domu, na moment przystanął na werandzie, bo na drodze za ciągnikami zamajaczyła mu niewyraźna sylwetka. Kilka sylwetek.

Wyteżył wzrok. Postać w długim płaszczu, a za nią trzy... cztery cielaki oraz pies.

Bonnie i cielęta, pomyślał, a ten człowiek to zapewne Angus. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo przejmował się losem cieląt pozostawionych na plaży pod opieką psa. Widząc całą gromadkę, odetchnął z ulgą.

Ruszył przez ogród w ich kierunku, ale człowiek i cielęta uskoczyły w bok. Z odległości trzydziestu metrów zorientował się, że bliżej do nich nie podejdzie, że to zasługa psa, że nie uciekli.

Gdy zawrócił do domu, Maggie z niepokojem wpatrywała się w drzwi. Zważyła, że dotrzyma słowa, bała się, że nie wróci? Poczuli, że po prostu nie może jej zostawić. Strach przed zaangażowaniem emocjonalnym podpowiadał mu, że musi zachować dystans, ale zagłuszał go inny głos, którego nie potrafił pojąć.

– Co się stało? – zapytała.

Zdaje się, że wszystkie emocje są wypisane na jego twarzy. No bo jeśli nie umie ich wyciszyć, to jak miałby zapanować nad twarzą?

– Nic. Angus przyprowadził cielaki. Cztery cielaki i Bonnie właśnie zbliżają się do domu.

– Przyprowadził je... – Przez chwilę wydawało mu się, że Maggie się rozpłacze. Po raz kolejny poczuł chęć, by ją pocieszyć. Jednak nie ruszył się z miejsca, mimo że nie było to łatwe. – Pewnie widział, jak przywiozłeś mnie do domu – stwierdziła uszczęśliwiona. – I poszedł ich poszukać. – Westchnęła. – Dzięki Bogu. Obudźmy Betty, żeby jej powiedzieć.

Budzić Betty? Wykluczone.

– Oczyszczę ci teraz ranę na głowie.

– Ale to jest ważniejsze.

– Obudzenie Betty?

– Max, proszę... To bardzo ważne. Gdybyś wiedział, ile musiała się nakombinować, tobyś zrozumiał. Przez ostatni rok jej głównym celem było zmusić mnie do przyjazdu do Yandilagong, założyć nowe stado mleczne dla Angusa i znaleźć mu opiekę. Ona wie, że wkrótce umrze. Musiałam przywieźć te cielaki, choćby się waliło i paliło, a ona chce mieć pewność, że tu dotarły.

– Mamy ją obudzić, żeby jej to powiedzieć?

– Obudzimy ją i pokażemy jej te cielaki. Przyniesiesz mi kule? Są w garażu, trzy pary, mój rozmiar to chyba te środkowe.

– Po co ci kule?

Z biernej i przestraszonej pacjentki nagle przeistoczyła się kobietę opętaną misją.

– Pójdę z wami, a ty ją zanieziesz, żeby mogła zobaczyć cielęta Angusa.

– Chyba jutro rano...

– Nie! Popatrz na nią. Masz pewność, że dożyje jutra? Max, medycyna to nie tylko leki i opieka nad obłożnie chorym. Berty tego potrzebuje najbardziej i ja muszę jej to dać. Przez tę jedną noc mogę zaciągnąć dług, którego nigdy nie spłacę. Powiedziałeś, że zostaniesz, więc musimy to zrobić. Proszę, zanieś ją tam, żeby zobaczyła efekt swoich starań.

W jej oczach dostrzegł upór oraz... bezgraniczną miłość. Wspomniała wcześniej o przymusie, ale niezależnie od tego, co je łączy, Maggie była oddana babci bezgranicznie.

Pojął nagle, że tu nie tylko chodzi o Betty. Maggie jest wzorowym lekarzem. Troszczy się o pacjentów. On od sześciu lat broni się przed emocjami, a ona niczego nie tłumii. Śmierć męża nie nauczyła jej, że trzeba się bronić.

Co odpowiedzieć? Nie jesteś w stanie nic więcej dzisiaj zrobić? Betty potrzebuje snu? Twoje żądania są absurdalne?

Nie potrafi, tego jej nie powie. Jutro będzie miał to za sobą, ale teraz... musi jej słuchać.

Patrzyła mu prosto w oczy, co bardzo go peszyło. Może nawet więcej niż peszyło. Powinien uciekać gdzie pieprz rośnie od tego, co czuje, ale zaraz potem pomyślał, że już chyba na to za późno.

Może nie miałby siły biec, nawet gdyby spróbował.

W świetle księżyca szedł przez zagrodę dla bydła, niosąc konającą staruszkę, a u jego boku, podpierając się kulami, podążała młoda lekarka w siódmym miesiącu ciąży.

Babcia była półprzytomna. Obudziła się, gdy brał ją na ręce, ale Maggie powiedziała tylko:

– Babciu, cielaki są już w zagrodzie. Tak jak chciałaś. Musisz je zobaczyć.

Maggie nie powinna ruszać się z kanapy, pomyślał. Kuśtykała, ale nie narzekała. Uparcie parła przed siebie.

Przed nimi na tle nieba piętrzyły się kostki słomy. Gdy podeszli bliżej, Maggie przystanęła.

– Angus! – zawołała, ale w odpowiedzi usłyszeli jedynie ciche muczenie cielaka. – Angus, babcia chce zobaczyć cielaki, które ci dała. – Cisza. – Jest tu też lekarz, który mnie przywiózł do domu z miejsca wypadku. Na pewno go już widziałeś. Ma na imię Max. I niesie babcię, bo ona nie może chodzić. Angus, babcia naprawdę chce cię zobaczyć z cielakami!

Nie doczekawszy się odpowiedzi, Maggie szepnęła:

– Nie ma co czekać. Idziemy. – Pokuśtykała przodem.

Na pewno cierpi, powinna leżeć, ale czuł, że Maggie się nie podda.

Odwróciła się, rzucając mu pytające spojrzenie, więc ruszył za nią. Omijał kostki słomy, idąc w ślad za kobietą, która zaczynała budzić jego podziw. Więcej, która sprawiała, że tracił orientację, jakby nagle grunt zaczął usuwać mu się spod stóp.

Odnaleźli cielęta w zagrodzie z kostek słomy. Za nimi stał Angus, czarna sylwetka w czarnym płaszczu poza kręgiem światła rzucanego przez latarnię. Trzymał przed sobą Bonnie jak tarczę.

– Jak je znalazłeś? – zapytała Maggie, a mężczyzna cofnął się głębiej w mrok.

– Bonnie – odezwał się po chwili. – Przyprowadziła je plażą. Przybiegła po mnie. Wiedziałem, że coś złego się stało, jak cię to auto przywiozło do domu. Kazała mi zejść na plażę.

– Och, Bonnie... – wzruszyła się Maggie.

Chciał ją przytulić, ale nie mógł, bo trzymał Betty, która uważnie przyglądała się cielętom.

– Hm... Podobają ci się? – szepnęła babcia.

Max ostrożnie posadził ją na słomie, otulając starannie pledem. Na jego widok cielęta trochę się spłoszyły, ale nadal były na wyciągnięcie ręki staruszki.

Zapadło milczenie. Max pomyślał, że należałoby coś powiedzieć, ale w tej samej chwili Maggie chwyciła go za rękę. Gdy się o niego oparła, bezwiednie otoczył ją ramieniem. To on znajdował w niej oparcie.

Rodzina, nagle przyszło mu do głowy. Jednocześnie ogarnęło go to samo uczucie co wtedy, gdy po raz pierwszy ujrzał dom babci. Tęsknota za czymś innym niż samotność, którą sam sobie narzucił.

Rodzina? Tutaj? Tyle zobowiązań... Że też Maggie wzięła na swoje barki taką odpowiedzialność! Pełen podziwu dla jej siły przygarnął ją mocniej.

Betty zapytała Angusa, czy cielęta mu się podobają, i czekała na odpowiedź. Widział wyraźnie, że Angus wie, że musi coś powiedzieć. Także Maggie czekała w napięciu.

– Tak.

– Będą dawały mleko – szepnęła babcia. – To dopiero początek. Jak jest tu Maggie, będziesz miał nowe stado.

– Z mleka można robić ser – zachrypiał głosem nieprzyzwyczajonym do mówienia. – Dopóki stado nie będzie takie duże, że znowu będę woził mleko do spółdzielni.

– Tak. – To był szept, ale triumfujący. Babcia zwróciła się do Maggie. – Cztery jałówki na początek. Jak będziesz mu kupowała nową za każdym razem, kiedy będzie cię na to stać... Obiecuj, że tak zrobisz. Obiecuj. – Ostatnie słowo powiedziała z takim naciskiem, że Max poczuł, jak Maggie kuli się w sobie.

– Postaram się.

– A ty jej pomożesz. – Babcia przeniosła na niego wzrok. – Pomożesz jej. Czuję to. – Opuściła powieki, więc poczuł się zwolniony z odpowiedzi. – Będzie dobrze. Farma jest w dobrych rękach. Poprowadzi ją syn Willa. Będzie dobrze.

– Babciu...

– Tak, czas zasnąć – odparła staruszka, nie otwierając oczu. – Jeżeli ten twój kawaler zrobi mi jeszcze jeden zastrzyk morfiny, będę bardzo zadowolona. Zrobisz?

– Zrobię – odparł, bo co innego mógł powiedzieć? Maggie mocniej ścisnęła jego rękę.

To był uścisk podziękowania.

Z każdą chwilą było mu coraz trudniej przewidzieć, w co się wplątał. Sytuacja była tak niesamowita, że miał wrażenie, że znalazł się w innym świecie.

Ale tutaj panował spokój, w pewnym sensie. Angus ze słabo skrywanym zniecierpliwieniem czekał, by sobie poszli, zostawiając go sam na sam ze zwierzętami, Maggie opierała się na nim, czerpiąc z niego siłę, odzwajemniając się ciepłem, a stara kobieta żegnała się z życiem.

– Zaniesiesz babcię do łóżka? – szepnęła przez łyzy.

– Oczywiście, i wrócę, żeby się zająć tobą.

– Sama się sobą zajmę. Tak było i tak będzie.

W świetle księżyca patrzył na kobietę, którą należało się zaopiekować, bo ona myśli o wszystkich. Nie tylko o tych dwojgu z farmy. O całej miejscowej społeczności.

Maggie. Jego zaangażowanie skończy się rano. Definitywnie. Czy na pewno?

Zgodnie z poleceniem Maggie wniósł babcię do domu. Była na tyle przytomna, że pokierowała go do sypialni: wielkiego pokoju z widokiem na ogród. Położył ją, podał morfinę i myślał, że zasnęła, ale gdy się wyprostował, chwyciła go za rękę.

– Dziękuję – wyszeptała. – Dzięki tobie jest tak, jak chciałam. Teraz mogę odejść. Opiekuj się nimi.

Zamknęła oczy, a jej słowa docierały do niego powoli. To było pożegnanie, a sądząc po tym, jak wygląda...

Powinna dostać płyny, pomyślał, dotykając jej wysuszonej dłoni. Jest przeraźliwie odwodniona. Wyniszczona. Mógłby chociaż podać jej kroplówkę.

Czuł jednak, że nie byłaby mu wdzięczna za przedłużenie życia. Nie musiał pytać o to Maggie. Ta decyzja już zapadła.

Umierała i zdawała sobie z tego sprawę. Więc jak on ma potraktować jej słowa? Opiekuj się nimi. Co to za prośba?

Mógłby ją obudzić i powiedzieć: Betty, ja tu jestem przejazdem, przenocuję, ale o świcie wyjadę. Czy można budzić człowieka, który kona, żeby mu to powiedzieć? Ale z kolei nie powiedzieć mu tego...

Nie mógł jej nic powiedzieć, bo zapadła w sen.

Zgasił lampkę nocną i wyszedł z poczuciem, że ta obietnica go zobowiązuje. Bo nie zaprotestował...

Bzdura. Betty nie miała prawa o nic go prosić, a on nie musiał jej odpowiadać.

Idź dalej, stary, przykazał sobie. Do Maggie?

Nie zastał jej w salonie. Szedł pierwszy z Betty, ale sądził, że Maggie pokuśtyka za nim.

Wyszedł na dwór. Siedziała na murku przy furtce do ogrodu zapatrzona w niebo.

Powinna leżeć, trzeba też ją opatrzyć. Gdy stanął za nią, zadrżała. Jego dłonie bezwiednie spoczęły na jej ramionach, a ona całkiem nieoczekiwanie oparła się o niego.

– Ona teraz umrze – szepnęła. – Dziękuję, że się nią zająłeś.

Ta noc stawała się coraz bardziej nierealna.

– Chyba tak. Można jeszcze coś zrobić.

– To by nie miało sensu. Ale ten dzień... bez ciebie byłby katastrofą.

– Myślę, że właśnie przeze mnie był katastrofą – mruknął. – Gdybym nie wjechał w ten zakręt...

– Miałeś pełne prawo tamtędy jechać.

– Maggie, chodź do domu. Zanieść cię?

– Nie. – Westchnęła. – Powinnam być wdzięczna, ale nie wolno przyzwyczajając się do tego, że można na kimś się oprzeć.

Mimo to opierała się o niego.

– Zimno ci.

– Tak, powinnam już wejść do środka – przyznała.

– Nie chcesz?

– Mam ochotę uciec – powiedziała półgłosem. – Jestem taka zmęczona.

Zawahał się. Powinien wnieść ją do domu, opatrzyć jej czoło, unieruchomić kolano i położyć do łóżka. Ale niebo było takie rozgwieżdżone, a od strony sterty słomy dobiegało ciche muczenie cieląt, które układały się do snu. Angus będzie ich pilnował. Niosąc babcię do domu, spojrzął za siebie i zobaczył, jak Angus układa się na słomie. Na jego pomarszczonej twarzy malował się zachwyty. Angus i Bonnie nie porzucą swoich podopiecznych.

Ani nie przyjdą do domu, żeby pomóc Maggie.

Jak bardzo samotna jest ta kobieta?

Co ty robisz? Wewnętrzny głos uporczywie go ostrzegał, nakazywał się wycofać. Ale on nie potrafił mu się podporządkować. Umierająca staruszka rzuciła na niego urok. Opiekuj się nimi.

Co mu szkodzi? Stać go na to, by pomagać przez jeden wieczór, możliwe, że pomoże jej, jeśli trochę dłużej z nią posiedzi. Czuł, że Maggie nie ma ochoty wracać do domu. Mimo że wypełniła go kwiatami, że dbała o porządek, teraz zawładnęła nim starość, choroba oraz nieuchwytna aura smutku. Delikatnie położył jej ręce na ramionach, bez słów dając jej do zrozumienia, że jest z nią.

Musiał jednak na chwilę zostawić ją samą, bo zorientował się, że jest jej zimno.

– Zaczekaj – powiedział, po czym pospieszył do domu. Kiedy wrócił, siedziała w tym samym miejscu.

Jednym pledem okrył jej ramiona, drugim kolana, a trzecim sam się owinał, ponieważ nie miał natury męczennika, po czym usiadł tuż obok.

– No, kwestia hemoroidów załatwiona.

– Jakich hemoroidów?

– Nie wolno dopuścić, żeby człowiekowi zmarzył tyłek – odparł bez cienia uśmiechu. – Tego powinno się uczyć już na pierwszym roku medycyny.

Wyczuł raczej, niż zobaczył, że się uśmiechnęła i trochę rozluźniła. Obejmując ją w pasie, przez dwa koce czuł jej ciepło, a to znaczyło, że potrafi ją ogrzać. To bardzo przyjemna świadomość.

– Wyjaśnisz mi, o co chodzi z tymi cielakami? – zapytał, żeby od czegoś zacząć.

Milczała dłuższą chwilę, zapatrzona w gwiazdy.

– To marzenie babci, jej wielki plan. Żeby mnie tu ściągnąć i żeby syn Williama odziedziczył tę farmę. Żeby Angus znowu miał swoje stado krów.

– Syn Williama – zaczął ostrożnie. – Czyli ta dziewczynka, którą wysiadujesz?

– Tak. Ale przemiana Archibalda w Annie to najmniejszy problem. To są przemieszane marzenia babci i moje.

– Opowiesz mi o nich?

– A chcesz słuchać? – Zawahała się. – To ciebie nie dotyczy. Jechałeś dokądś. Nie mogę cię prosić, żebyś został na noc. Nie mogę wplątywać cię w nasze sprawy.

– Nie obiecuję, że cokolwiek naprawię – zastrzegł się. – Jeżeli masz ochotę mówić, po prostu cię wysłucham.

Westchnęła.

– Okej, w skrócie. Jestem Angielką, podobnie jak matka Williama. Jego ojciec, syn Berty, jest wielkim biznesmenem, który rozstał się z tą farmą, mając osiemnaście lat, osiadł w Londynie i już nigdy tu nie zajął. Więc William wychowywał się w Londynie. Poznaliśmy się na stażu, pokochaliśmy się, pobrali i żyli jak typowi londyńczycy. William często wspominał farmę w Australii, dokąd zsyłali go rodzice, jak chcieli mieć go z głowy w czasie wakacji. Opowiadał o niesamowitej babci, pięknej farmie i serdeczności mieszkańców Yandilagong. Powtarzał, że kiedyś tu przyjedziemy, otworzymy przychodnię i będziemy mieli dzieci.

– Marzył o tym?

– To było więcej niż marzenie – powiedziała cicho. – Ani jego, ani moje dzieciństwo nie należały do szczęśliwych. Magia farmy, przychodni i rodziny sprawiła, że uwierzyliśmy, że wyjedziemy zaraz po studiach. Ale wtedy William zmarł. Byłam zrozpaczona, samotna, zapracowana, aż przyszedł list od Betty.

– Przywracający to marzenie?

– Można tak to ująć. – Nie odrywała wzroku od rozgwieżdżonego nieba.
– Nie wiem, jak informacja o nasieniu Williama dotarła do Betty, ale ona o tym wiedziała. Napisała, że jeśli zamierzam urodzić dziecko Williama, to ona zaprasza mnie do Yandilagong. Na tyłach domu jest obszerne mieszkanie, więc byłabym niezależna. Ona zajmie się dzieckiem, a ja mogłabym w niepełnym wymiarze godzin pomagać tutejszemu lekarzowi. Dołączyła nawet liścik od niego, w którym obiecywał mi mnóstwo pracy.

Parsknęła gorzkim śmiechem.

– Co było dalej?

– Rozmarzyłam się i przestałam myśleć pragmatycznie. Pomyślałam: czemu nie? Nie zamierzam ponownie wychodzić za mąż, ale dziecko Willa wydało mi się wielkim skokiem w przyszłość. Pomyślałam sobie, że jak nie sprawdzę się na farmie, wyjadę stamtąd, a jako lekarz w Australii zawsze znajdę pracę. Przyjechałam do Yandilagong w czwartym miesiącu ciąży.

– I zastałaś...

– To, co widzisz. Betty i Angusa. Will go znał, tego nieśmiałego wujka, ale wtedy Angus mieszkał gdzie indziej. Dopiero po przyjeździe zorientowałam się, jak bardzo jest upośledzony. To zespół Aspergera, co oznacza, że Angus jest w stanie zadbać o siebie, ale patologicznie boi się świata zewnętrznego. – Wzruszyła ramionami. – Kiedy przez ostatnie dwa lata Betty kursowała między domem i szpitalami, Angus doprowadził farmę do ruiny. Betty była zmuszona sprzedać stado i połowę ziemi, żeby zrekompensować straty, a teraz się boi, że po jej śmierci Angus będzie musiał opuścić farmę. Więc umyśliła sobie, że mnie tu ściągnie, żebym pomogła jej opiekować się Angusem i pracowała tu jako lekarz, a ona zajmie się farmą oraz dzieckiem.

– Musiała już być chora, kiedy do ciebie napisała.

– Tak, ale nie przewidziała, że chemioterapia nie poskutkuje. Nadzieja musi się czymś żywić. Więc całkiem niespodziewanie znalazłam się w tym młynie, ale wystarczyła doba, abym poczuła, że nie mogę ich zostawić. Jestem... byłam żoną Willa, a on kochał Betty, kochał tę farmę. Nie mogę ich zostawić.

– Rozumiem – rzekł powoli.

Bardzo dobrze ją rozumiał. Widział też, jak patrzyła na Betty. Mąż Maggie kochał swoją babcię. Czy się komu podoba, czy nie, czy to był podstęp, czy nie, lojalność Maggie była niewzruszona. Oto kobieta z charakterem.

Jej historia poruszyła go do głębi.

– To mało interesująca opowieść. Ale dziękuję, że zechciałeś jej wysłuchać.

– Żałuję, że nie mogę więcej pomóc.

– Nie trzeba. – Zawahała się. – Dlaczego ginekologia?

– Słucham? – Kompletnie go zaskoczyła.

– Opowiedziałam ci o sobie, więc teraz twoja kolej.

– Trzeba cię opatrzyć.

– Powtarzasz to w kółko od kilku godzin, dziesięć minut niczego nie zmieni.

– Nie warto o tym wspominać.

– Obserwowałam cię, kiedy patrzyłeś na moje dziecko. Podejrzewam jakąś tragedię.

– Moją tragedia to moja sprawa.

– To prawda – zgodziła się, szczerzej owijając się kocem i wstając z murka. – Przepraszam. Jasne, nie muszę wiedzieć. – Popatrzyła w stronę jego auta. – Na ginekologii można więcej zarobić niż na położnictwie, to logiczne.

- Owszem.
- I śpi się nieprzerwanie przez całą noc.
- Owszem.
- Ale to nie to.

Skąd ona wie? Było coś w tej nocy, w tej kobiecie, co wymuszało szczerłość. To nie jej sprawa, a mimo to...

– Moja żona zmarła w szóstym miesiącu – powiedział, a ona przysiadła z powrotem obok niego. Ujęła jego dłoń.

– Och, Max...

– To już przeszłość. Sześć lat temu. Przypadek żony lekarza, która nie otrzymała należytej opieki. Byłem wtedy położnikiem. Zatrucie ciążowe.

– Uważasz, że to twoja wina?

– Powinienem być uważniej ją obserwować. Ściągnęła brwi.

– Nie byłeś jej lekarzem prowadzącym. Chyba miała swojego położnika?

– Tak, ale...

– Jak często sprawdzałbyś jej ciśnienie, gdybyś to ty był jej lekarzem? – obruszyła się ku jego zdziwieniu.

– Nie w tym rzecz.

– Właśnie, że w tym. Chyba że zignorowałeś spuchnięte kostki i dłonie, brak tchu oraz inne sygnały.

– Ona nie miała...

– Nie miała żadnych objawów, aż zrobiło się za późno – dokończyła. – Oboje wiemy, że to postępuje przerażająco szybko. Żeby cię uspokoić, powiem, że mierzę sobie ciśnienie dwa razy dziennie, ale ja mam fioła. Gdybym była twoją żoną, a ty chciałbyś mierzyć mi ciśnienie dwa razy dziennie, tobym cię przegoniła. Opowiedz mi o niej. Jak miała na imię?

– Alice.

– Ładnie – powiedziała ciepło. – Była ładna?

– Ja... Tak, bardzo – odparł z wahaniem. Nawet ze smutkiem, bo czuł, jak blednie wspomnienie tej roześmianej dziewczyny, którą kiedyś poślubił.

– To okropne, prawda? – Maggie przerwała ciszę, która niebezpiecznie się przedłużała. – Wydaje ci się, że zawsze będziesz pamiętać. Nie wyobrażasz sobie, że można zacząć od nowa, że to możliwe, aż któregoś dnia...

– Westchnęła. – A wasze dziecko?

– Chłopczyk. Żył jedną dobę.

– Jakie daliście mu imię?

– Daniel. – Uprzytomnił sobie nagle, że wymówił to imię po raz pierwszy od pogrzebu.

To dziwne, że wspomnienia o Alice bladły, w przeciwieństwie do wspomnienia tego okruszka życia. To wspomnienie było boleśnie rzeczywiste.

– Tak mi przykro... – Uścisnęła mu dłoń.

Maggie na pewno jest wspaniałym lekarzem, pomyślał. Taka empatyczna, zaangażowana i... śliczna. Nie mógł się uwolnić od tego bardzo nieprofesjonalnego określenia.

– I...?

– Porzuciłem położnictwo, wyjechałem z Anglii i zostałem ginekologiem w Sydney – odparł, po czym wstał.

– Koniec historii. Powinnaś się położyć.

– Nie przeczę.

– Zaniosę cię. Na pewno noga nie przestała boleć.

– No nie – przyznała i ku jego zdziwieniu nie stawiała oporu, gdy brał ją na rękę. – Myślę, że pora nam zacząć od nowa – powiedziała, gdy niósł ją ścieżką wśród róż, a on nie zaprotestował.

W kominku dogasał ogień. Max położył Maggie na kanapie, dorzucił dREW, znalazł puszkę zupy, odgrzał ją, zrobił grzanki i namówił Maggie do jedzenia.

W końcu zajął się opatrzeniem jej ran.

Jakie on ma delikatne palce.

Morzył ją sen, a on oczyszczał jej czoło. Czasami sprawiał jej ból, ale ledwie to rejestrowała. Pochylał głowę nad jej twarzą, skupiony na zadaniu.

Ile to już czasu upłynęło, odkąd ktoś się nią opiekował? Ile czasu upłynęło, odkąd ktoś otworzył dla niej puszkę z zupą i zrobił grzankę?

Nie łudź się, pomyślała. On tak samo jak ty znalazł się w potrzasku. Jedyna różnica to ta, że jutro on wyjedzie, a ty tu zostaniesz. Mimo to zrobiło się jej lżej na duszy. Tego wieczoru mogła dać się ponieść iluzji czułości. Mogła patrzeć na niego, obserwować jego oczy, doświadczać siły i sprawności jego palców, widzieć jego zatroskanie.

Martwił się o nią. Powinna go zapewnić, że wszystko ma pod kontrolą, nad wszystkim panuje, że rano wstanie żwawa jak Tygrysek.

Ale teraz wcale nie czuła się jak Tygrysek. Co dziwniejsze, ani jak Kłapouchy. Bo czy można się użalać nad sobą, mając przy sobie kogoś takiego jak Max Ashton? Był tak blisko, że mogłaby ująć w dłonie jego twarz i...

I nic. Weź się w garść. Wyraz jej twarzy musiał się zmienić, bo Max nagle cofnął ręce.

– Uraziłem cię?

– Nie, nie. Chyba zaraz zasnę.

– Muszę ci jeszcze przemyć kolano.

– Nie widzę przeszkód.

– Możesz zdjąć to, co zostało z twoich dzinsów?

– Oczywiście – odparła z godnością, ale nie zdołała ściągnąć spodni, więc z zadowoleniem powitała fakt, że Max przestał się przyglądać i jej pomógł. Ale wtedy jego dłonie dotknęły jej ud. I było to bardzo przyjemne.

Ups, Maggie, oprzytomnij! On jest lekarzem, a ty pacjentką. Czuła się tak, jakby odpływała na środkach uśmierzających. Bardzo przyjemne doznanie. Oto leży półnaga na kanapie przed kominkiem, a mężczyzna jej marzeń trzyma rękę na jej nodze.

Mężczyzna jej marzeń?

– Auu!

Oprzytomniała. Ziemia do Maggie? Najwyższy czas, żeby ten kontakt został nawiązany.

– Przepraszam. Ale nie wygląda to tak źle, jak się obawiałem.

– To dobrze – mruknęła sennym głosem. – Wspaniale.

– Martwiłaś się? – zapytał nieco ironicznym tonem.

– Martwiłabym się, gdyby miała odpaść. Jak już mówimy o odpadaniu...

– Mam cię zanieść do łóżka?

– Tu mi dobrze. – Nie chciała myśleć o powrocie do swojego mieszkania na tyłach domu.

– Obrzęk już schodzi. Chyba po prostu porządnie w coś wyrznęłaś. Podejrzewam, że prześwietlenie wykaże ślicznego dużego krwiaka pod kolanem, nic więcej.

– Super. Czyli wszystko wróci do normy. – Zawahała się. – Ale nie musisz tu zostawać.

– Muszę. Uderzyłaś się w głowę, nieźle potrząsnęłaś dzieckiem i powinnaś znaleźć się w szpitalu na obserwacji. Skoro to nie jest możliwe, jesteś skazana na mnie.

– Albo ty na nas. Przepraszam.

– Daj spokój. – Spojrzał na nią skruszony. – Nie przepraszaaj. Potraktuj to jak koleżeńską pomoc. Nie wiem, czy jestem w stanie ci pomóc, ale jedna noc z mojego życia to niewiele.

Skoro tak, to niech zostanie, pomyślała. Nie będzie się z nim kłócić. Tym bardziej że bardzo by chciała, żeby został.

– Możesz spać na kanapie babci?

– Chcesz, żebym tu z tobą został?

Chciała, ale nie miała prawa tego od niego oczekiwać. W domu jest mnóstwo wolnych pokoi. Ale...

– Tu jest ciepło.

– Owszem – odrzekł z szerokim uśmiechem.

– Szkoda marnować opał.

– Owszem. Tutaj będę mógł czuwać przy tobie, nie wstając. I nie muszę iść do samochodu po śpiwór.

– Nie musisz przy mnie czuwać – obruszyła się. –Masz śpiwór?

– Zabrałem go na festiwal, ale się nie przydał, bo przyjaciele załatwili nam królewskie lokum.

– Jacy przyjaciele?

– Organizacją zajęła się Fiona. Ona jest radiologiem i osobą doskonale zorganizowaną.

Fiona. Max ma przyjaciółkę. To chyba nic dziwnego. Facet, który tak się uśmiecha, musi mieć przyjaciółkę. Więc nie ma powodu tak się nim entuzjasmować.

Była wykończona. Powinna zasnąć i przestać myśleć o problemach i o tym, jak sobie poradzi ze stłuczonym kolanem. O tym, jak ma doglądać babci przez całą noc, skoro jest taka zmęczona, i o tym, co ma zrobić jutro. Bez Maxa. Który ma dziewczynę.

- Pomóc ci w łazience? – zapytał.
- Poradzę sobie.
- Na pewno?
- Na pewno.
- Dobrze. – Podciągnął jej kołdrę pod brodę i, zanim się zorientowała, pocałował ją.

To było jak muśnięcie skrzydeł motyla, zapewne pocałunek na pocieszenie, ale chyba składa się go na czole, nie na wargach. Na całe szczęście miała ręce pod kołdrą, bo obejmować tego mężczyznę...

Byłoby przyznaniem, że go potrzebuje, że czuje się osamotniona, że on jest wszystkim, czego ona pragnie.

William...

W myślach wymówiła imię męża, ale nie spotkało się to z żadnym odzewem. William. Nie ma go. Max. O tak, Max jest tutaj.

- Dobranoc, Maggie – szepnął, a jej zachciało się płakać.
- Dobranoc. Przymknęła powieki.

William, William, William, powtarzała w myślach, ale jako mantra to się nie sprawdzało. Max. Chciała, by został, tu i teraz. Na zawsze.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Obudziły ją promienie słońca. Był poranek, a Max klęczał przed kominkiem.

W chwili, gdy spojrzała na zegar ścienny w rogu salonu, rozległo się jego bicie.

Dziewięć razy. Dziewiąta!

– Nie pojmuję, jak wy możecie spać przy tym potworze – odezwał się Max.

Dmuchał z zapalem w żar na ruszcie. Po chwili buchnął płomień. Mógłby nie usłuchać tego faceta?

Przyjrzała mu się uważnie. Wyglądał o wiele czyściej niż poprzedniego dnia, jakby wziął prysznic. Miał na sobie czyste dżinsy i czystą koszulę z podwiniętymi rękawami, jakby zamierzał zabrać się do ciężkiej pracy.

Wyglądał jak mężczyzna, który zawsze tu był i co rano palił w kominku. Jak mieszkaniec tego domu.

Jednak gdy ujrzała jego ściągnięte rysy, jej zdecydowanie niestosowne myśli natychmiast pierzchły.

– Betty zmarła o szóstej rano – powiedział, a jej zrobiło się ciemno przed oczami.

– Betty...

– Spałaś tak mocno, że musiałbym wylać na ciebie wiadro zimnej wody, ale nie miałem serca cię budzić. Przepraszam.

– Betty... – powtórzyła, czując, jak zalewa ją fala smutku.

Mimo że znała Betty z korespondencji oraz opowieści Williama, ich bezpośredni kontakt trwał ledwie kilka miesięcy. I przez ten czas miała Betty za złe, że w niecny sposób zwabiła ją do Yandilagong i uwięziła. Mimo

gniewu Maggie ani razu nie zakwestionowała jej motywów. Betty wmanewrowała ją w tę sytuację z miłości do syna, którego już nie była w stanie chronić.

Maggie instynktownie położyła dłonie na brzuchu. Kto wie, do czego ona mogłaby się posunąć, by chronić swoje maleństwo?

Kiedy umiera miłość matki?

– Angus... – wyszeptała.

– Był przy niej do samego końca.

– Angus?! – Spojrzała na Maxa z niedowierzaniem. Odkąd mieszkała z Betty, Angus ani razu nie wszedł do domu. Jakby się go bał.

– Pomyślałem, że oboje by tego chcieli – wyjaśnił, patrząc jej w oczy. – Wydawało mi się, że jeśli on od lat zajmuje się zwierzętami, to musi rozumieć, czym jest śmierć.

– Ale co zrobiłeś, żeby wszedł do domu?

– Powiedziałem mu, co się dzieje i jak powinien się zachować, a on się zgodził.

– Wysłuchał cię?

– Kiedy podszedłem do jego stogu, schował się, więc powiedziałem mu, że jego matka umiera i że chciałaby, żeby był blisko. Potem się wycofałem na jeden z ciągników i czekałem. Zbierał się na odwagę chyba z pół godziny. Z ciągnika przedstawiłem mu stan Betty, aż w końcu zdecydował się wejść do domu. Betty obudziła się na moment, akurat wtedy kiedy wszedł do sypialni. Trzymał ją za rękę do ostatniej chwili.

– Och, Max. – Nie kryła podziwu. – Ja to powinnam była zrobić.

– Myślę, że twój organizm po prostu kazał ci się z tego zwolnić – rzekł półgłosem. – Poza tym, prawdę mówiąc, nie ciebie Betty potrzebowała. Ten jeden moment świadomości był przeznaczony tylko dla Angusa.

– Och, Max – powtórzyła i się rozpląkała.

Skoczył ku niej niczym wielki kot. Uniosła się nieco, a on otoczył ją ramionami, jakby tylko na to czekał.

Może rzeczywiście o to jej chodziło. W tej chwili bardzo go potrzebowała. Wtulona w niego dała upust emocjom, które wzbierały w niej od lat. Kiedy płakała po raz ostatni? Nawet tej nocy, kiedy William odszedł...

Więc teraz, trzy lata później, wypląkała całą rozpacz, a gdy opadła na poduszki, uśmiechnęła się łzawo w przeświadczeniu, że nareszcie skończył się czas opłakiwania.

– Dziękuję. Jeżeli Angus był przy niej, to, tak, niczego jej nie brakowało. I jeszcze zdążyła zobaczyć go z cielakami.

– A i on widział ją z nimi. On zdaje sobie sprawę, że to dar od matki. Już do nich wrócił. Wspomniał nawet o pochówku. – Max się uśmiechnął. – Zaproponował wybieg za oborą, ale udało mi się mu to wyperswadować. Ustaliliśmy wspólnie, że Betty spocznie w grobie obok jego ojca. Myślę, że jak dojdiesz do siebie, też powinnaś z nim porozmawiać.

– Ale...

– Zamówiłem już ludzi z zakładu pogrzebowego i skontaktowałem się z koronerem. Ustaliliśmy, że skoro są notatki medyczne twojego poprzednika, z których wynika jasno, że Berty jest nieuleczalnie chora, to mogę podpisać akt zgonu, mimo że po raz pierwszy zobaczyłem ją wczoraj.

– Skąd to wiesz?

– Jej dokumenty medyczne leżą na komódce – wyjaśnił. – Przez noc się z nimi zapoznałem.

Wzięła głęboki oddech. Niesamowite. Nie mogłaby podpisać aktu zgonu, ponieważ mieszka z Betty pod jednym dachem, a bez aktu podpisanego przez

lekarza prowadzącego należałoby wezwać policję, przeprowadzić dochodzenie...

Max to wszystko ominął.

– Nie spałeś całą noc?

– Prawie całą – przyznał, kiwnąwszy głową w stronę zegara. – On mi dotrzymywał towarzystwa.

W środku nocy przebudziła się raz lub dwa, tyle pamiętała, oraz to, że za każdym razem Max był przy niej, pytał, czy ją coś boli i siedział przy niej, aż zasnęła.

Spała, bo on był blisko.

Jasne, że nie przez cały czas.

– Po północy poszedłem do Betty. Stwierdziłem, że odchodzi, ale stało się to szybciej, niż przewidywałem.

– Och, Max...

– Jest jeszcze coś. Jeśli masz siłę mnie wysłuchać...

– Jeszcze coś...?

– Miałem całą noc na przemyślenia. Powinienem cię ostrzec, że mój zespół w szpitalu ma mnie za... no, despotę. Oraz osobnika zorganizowanego, może nawet obsesyjnie. Lubię mieć plan. – Uśmiechnął się do niej. – I na to poświęciłem tę noc.

– Nie rozumiem.

– Więc po prostu mnie wysłuchaj. Teraz musisz pożegnać się z Betty, zaplanować pogrzeb, wyleczyć kolano i odpocząć po wydarzeniach ostatniej doby. Moim zdaniem powinnaś leżeć na tej kanapie przez tydzień, może nawet do rozwiązania. Ale nie masz nikogo, kto by cię wyręczył. Z powodu wyjazdu na festiwal wziąłem cztery dni urlopu, więc dzisiaj jeszcze jestem wolny. Czeka na mnie bardzo długa lista zabiegów, tych poważnych, więc czy mi się

podoba, czy nie, po dzisiejszym dniu ci nie pomogę. Zatem muszę działać szybko. Może najpierw wzięlibyśmy prysznic?

– Razem?

– Masz zastrzeżenia już na samym początku? – zdziwił się. – Na jednej nodze nie ustoisz pod prysznicem.

– Gdybyś już brał prysznic – odezwała się, rozpaczliwie ratując swoją godność – tobyś zobaczył, że są tam trzy uchwyty oraz taboret ustawiony z myślą o Betty.

– Okej, są uchwyty. – Zorientował się, że Maggie walczy o niezależność.

– Następny punkt to zawiadomienie ludzi o jej śmierci. Rodzice Williama? Przyjadą? Twoi rodzice?

– Marzenie ściętej głowy.

Nie potrzebowała swoich rodziców, którzy bardzo wcześnie odesłali ją do szkoły z internatem, ani rodziców Williama, którym nie zechce się tak fatygować.

– Znajomi i przyjaciele?

– Całe Yandilagong to jej przyjaciele, ale jeśli zawiadomiłeś zakład pogrzebowy, to wszyscy już o tym wiedzą.

– W porządku. To było łatwe. Przejdźmy do punktu trzeciego mojego planu.

– Twojego planu dominacji nad światem? – Uśmiechnęła się niepewnie.

– Już lepiej. Znalazłem dla ciebie zastępstwo.

– Max...

– Tak, wiem, to szczyty zorganizowania. – Przegarnął włosy palcami jak człowiek, który nie wie, od czego zacząć. – Ale, Maggie, kurczę, jesteś połamana.

– Słucham?! – Spiorunowała go wzrokiem. – Coś ty powiedział?!

– Że jesteś połamana.

– Nieprawda.

– Okej, tylko trochę – sprostował. – Cała reszta to szczyt sprawności, ale ten mały niesprawny kawałek powinien leżeć... Maggie, musisz pracować, żeby zarobić na życie?

Nie odpowie, to nie jego interes.

– Mam polisę Williama.

– Doskonale. Więc jeśli nie jesteś emocjonalnie zaangażowana w medycynę, to przez parę miesięcy mogłabyś to sobie darować. Od rana dzwoniło już dwoje pacjentów.

– Dwoje?

– Dwa błahe przypadki, więc obydwu odesłałem do namiotu medycznego na terenie festiwalu. Ale nie mogę dopuścić do tego, żeby skoczyło ci ciśnienie.

– Nie jestem Alice.

– Nie. – Zawahał się. – Nie jesteś.

– Więc co?

– Nic. – Zmienił ton. – Jesteś przepracowana i nie dojadasz. Należy z tym skończyć. Mój plan jest następujący.

Miejsce smutku nagle zajęła fascynacja. Oto facet skłonny przenosić góry. Może warto się położyć, pomyślała, i niech on się pomęczy?

– Znam internistę, który szuka pracy – mówił Max. – John ma czterdzieści lat i jest z Zimbabwe, a jego żona, Margaret, jest dentystką. John ma wysokie kwalifikacje, niedawno zdobył prawo praktyki w Australii. Miał obiecaną pracę w północnej Wiktorii, ale tydzień temu okazało się, że nic z tego nie będzie. Rozmawiałem z nim dzisiaj rano, żeby wy badać, czy nie zechciałby przez jakiś czas cię tu zastąpić.

– Dzwoniłeś do niego?

– Żeby się upewnić, czy nadal szuka roboty – ciągnął. – Że był zadowolony, to mało powiedziane. Jego córeczki marzą, żeby mieszkać blisko plaży. Jeżeli pozwolisz im pomieszkać w tym domu, zanim znajdą coś dla siebie, to mogliby stawić się w Yandilagong już jutro. – Wzruszył ramionami. – John by cię zastępował, ale gdyby was interesował kontrakt długoterminowy albo nawet partnerstwo, to też byłoby do załatwienia.

– Jutro... – szepnęła wstrząśnięta.

– Jutro od rana mam kilka operacji, więc muszę dzisiaj wieczorem wyjechać – tłumaczył się. – Ale nawiązałem kontakt z zespołem z namiotu medycznego. Nie mają nic przeciwko temu, żebyś do przyjazdu Johna telefony od pacjentów przekierowywała do nich. Mniej groźnymi przypadkami zajmą się sami, a do tych poważnych wezwą pomoc. Więc do jutra rana będziesz miała spokój. A potem... John jest super. On i jego żona na pewno uszanują dziwactwa Angusa i twoją niezależność. Maggie, w ten sposób ktoś tu będzie, jak zaczniesz rodzić.

Nagle jego profesjonalny dystans zniknął. Max wyraźnie się wahał, jakby starał się ją namówić na coś wbrew jej woli.

Wbrew jej woli? Oszalał?

Ona składała zapotrzebowanie na zastępstwo, ale nikt się nie zgłosił, a on już kogoś znalazł. Drugi lekarz w Yandilagong...

– Żartujesz, prawda?

– Nie żartuję – odparł z powagą. – Wszystko, co załatwiłem, możesz odwołać.

– Dlaczego miałabym odwoływać? Nie znam Johna, ale jak mówisz, że jest dobry...

– Bardzo dobry.

– Mogą tu mieszkać. – Ciągłe nie dowierzała takiej przychylności losu. – Przez jakiś czas, ale tu jest mnóstwo domów do wynajęcia. Myślę, że lepiej czuliby się na swoim.

– Musi tu ktoś być, jak zaczniesz rodzić.

– Ho, ho, mówisz jak moja matka. – Słyszając własne słowa, poprawiła się w myślach: Mówisz, jak moja matka powinna mówić.

Nie, nie tak. Tego, co ona czuje do Maxa, nie czuje się do matki.

– Bo mam instynkt macierzyński – odrzekł z uśmiechem.

Za skarby świata nie wolno jej ulec czarowi tego uśmiechu. Co jej chodzi po głowie? Berty nie żyje. To powinno sprowadzić ją na ziemię. Należy ją opłakiwać, ale po tej nocy...

Nie, ten dom nie był smutny. Teraz ogarnęło ją poczucie straty, ale wielką ulgę sprawiała jej świadomość, że staruszka umarła tak, jak tego sobie życzyła, we własnym łóżku, u boku syna, w przeświadczeniu, że zostawia wszystko uporządkowane.

A to wszystko dzięki temu despotycznemu i zorganizowanemu lekarzowi o ścinającym z nóg uśmiechu. Jeszcze chwila, a jej zaproponuje, że przemaluje łóżeczko na różowo. To nie jest takie pewne, pomyślała, spoglądając na jego ściągnięte rysy. Planowanie jej życia musi go dużo kosztować, bo przecież on nie chce mieć nic wspólnego z położnictwem.

– Nie martw się o mój poród. Będę rodziła w Sydney.

– Tak?

– To chyba jedyne sensowne posunięcie, jakie wykonałam przed przyjazdem do Australii. Zarezerwowałam też pokój w Sydney na przed i po porodzie. Uprzedziłam o tym Berty, jeszcze zanim zawitałam na farmę. – Uśmiechnęła się lekko zawstydzona, bo mógłby pomyśleć, że stchórzyła. – Zakładałam, że tu będzie lekarz rodzinny, ale chciałam mieć jakieś zaplecze.

Zdawałam sobie sprawę, że jak wyjadę do Sydney, to Yandilagong zostanie bez lekarza, ale nic nie mogłam na to poradzić. Jak będę rodzić, to nie przyjmę żadnego pacjenta.

– Co ty nie powiesz? – Rozładował napięcie. – A to dlaczego? Jaka niezguła.

– To prawda. – Uśmiechnęła się, czując jednocześnie, że smutek po stracie Berty opuszcza jej serce.

Nie dość, że tchórzliwa, to jeszcze zmienna?

– Ej – szepnął, biorąc ją pod brodę. – To nie grzech teraz się uśmiechać. Betty wiedziała, że jej czas się kończy. Wszystko zaplanowała i wszystko ułożyło się po jej myśli. – Uśmiechem zmusił ją, by i ona się uśmiechnęła. – Tam, na górze, zapewne już się dowiedziała, że jej starannie zaplanowany wnuczek jest dziewczynką, ale już tu nie zejdziesz, żeby zażądać powtórki. Więc ją stąd zapewnimy, że dziewczynki też potrafią poprowadzić farmę, zapamiętajmy, że umarła szczęśliwa, i zajmijmy się własnymi sprawami.

– Postaram się – szepnęła wzruszona.

Co jest w tym człowieku?

– Grzeczna dziewczynka – pochwalił ją półgłosem. – Zgadzasz się, żeby John i jego rodzina ci pomogli?

– Tak.

– Super. Jesteś pewna, że poradysz sobie sama pod prysznicem?

– Tak, dzięki. – Skłamała. Bardzo by chciała, by jej pomógł, ale duże dziewczynki nie korzystają z pomocy dużych chłopców.

Bez Maxa ten poranek byłby koszmarem. Po kąpieli pożegnała Betty, podczas gdy Max zajmował się formalnościami związanymi z pogrzebem.

Skontaktował się z księdzem i podjął go, gdy Maggie brała prysznic. Zdumiał się, gdy wręczyła mu długą niemal na metr listę instrukcji dla księdza.

Przy okazji dowiedział się, że staruszka zawczasu bardzo skrupulatnie zaplanowała swój pogrzeb, łącznie z takimi szczegółami jak wellingtony oraz spodnie robocze z moleskinu, w których kazała się pochować.

Stał obok niej, gdy rozmawiała przez telefon z rodzicami Williama, gdy poirytowanym głosem oznajmili, że nie mogą przyjechać. Dzięki niemu ta nieprzyjemna rozmowa stała się dla niej bardziej znośna.

Potem to już on zawiadamiał dalszych krewnych. Tak, Betty nie żyje, nie, Maggie nie może teraz podejść, to zrozumiałe, że jest zrozpaczona, data i godzina pogrzebu znajdzie się w jutrzejszej gazecie. Ona tymczasem piła trzecią herbatę. To materiał na bohatera, pomyślała. Brakuje mu tylko kostiumu Supermana. Mógłby wtedy skakać po dachach drapaczy chmur, trzymając ją pod pachą.

Supermanowi nikt nie odmówi.

Potem wbrew jej protestom wsadził ją do samochodu i zawiózł do Yandilagong, do przychodni założonej jeszcze przez jej poprzednika. Gramoliła się o kulach z auta, gdy potrącił ją ktoś z tłumu festiwalowych gości. Max błyskawicznie znalazł się przy niej i bez słowa wziął ją na ręce. Superman.

– Max! – zawołał ktoś z przeciwległego chodnika. Max przystanął. Przez jezdnię biegła do nich kobieta.

Bajecznie piękna, jak z reklamy.

– Fiona.

Fiona, jego przyjaciółka. Lois Lane Supermana, a ta ofierka w jego ramionach to jakaś przypadkowa kobieta, którą uratował, pędząc do następnego zadania.

– Myślałam, że cię wezwali do Sydney – zdziwiła się Fiona.

– Tak było, ale po drodze miałem wypadek i byłem zmuszony zostać. Fi, oto mój wypadek, doktor Maggie Croft, a to doktor Fiona Hamilton. Wczoraj ci o niej opowiadałem. Fiona jest radiologiem.

– Cześć. – Bardzo kłopotliwa sytuacja. Przyłapaną w ramionach Supermana na pewno nie zyskałaby sympatii Lois. Ani Fiony.

Ta kobieta była również lekarzem. Zatem było ich troje, ale Fiona wcale nie patrzyła na nią wzrokiem radiologa. Czego innego można oczekiwać, jak niesie cię na rękach Superman?

– Nie dojechałeś do Sydney. – Fiona wodziła po nich wzrokiem.

– Nie, bo utknąłem niedaleko stąd.

– Naprawdę miałeś wypadek? – Fiona przeniosła spojrzenie na jego astona martina, który stał tuż obok ze stłuczonym reflektorem, wgniecionym nadkolem i pękniętą przednią szybą. – Ojej. – Teatralnym gestem zasłoniła oczy. – Twoja piękna bryka.

– Maggie też ucierpiała – zauważył. – Przyjechaliśmy na prześwietlenie.

– Będziesz ją tu prześwietlał?

– To nie jest taka dziura, jakby się wydawało – zauważył. – Mają tu aparat rentgenowski.

– Ale nie rozumiem, dlaczego ją niesiesz?

– Bo Max lubi się rządzić – wtrąciła Maggie, by jak najprędzej zamknąć tę wymianę zdań. – Nie pozwolił mi chodzić o kulach. Już samo to, że wieczorem szło mi się na nich całkiem dobrze...

– Max u ciebie nocował?

– Tak. Z babcią, Angusem, z naszymi krowami i psem. Bardzo się przydał. Ale wołałabym, żeby mnie nie upuścił, więc...

– Idę z wami. – Fiona puściła ich przodem. – Max, nocowałeś u niej? Zatrzymałeś się pod tym samym dachem co zwyczajni ludzie?

– Nie bądź złośliwa.

Fantastycznie. Lepiej byłoby gdzieś zniknąć.

Ale rzeczywistość okazała się nieubłagana. Musiał postawić ją na ziemi, by otworzyła drzwi. Po wprowadzeniu kodu alarmu pospiesznie usiadła na pierwszym z brzegu krześle, bo w tej sytuacji odmawiała jej posłuszeństwa oba kolana. Z Maxem by sobie poradziła, ale obecność Fiony wytrąciła ją z równowagi. Czuła się jak dziecko.

– Rentgen jest tam. – Wskazała najbliższe drzwi. – Wejść, jak już wszystko przygotujesz.

– Jak zabytkowy jest ten aparat? – zapytał.

– Bardzo nowoczesny – zachnęła się. – No, prawdę mówiąc, był bardzo nowoczesny dziesięć lat temu, kiedy stary doktor kupił go za pół ceny od szpitala w Gosland, który się wtedy rozbudowywał. Do prostych zdjęć kolana i czaszki doskonały.

– Korzystałaś z niego?

– On naprawdę działa. – Zaczynała się denerwować.

– Uważasz, że należy wypróbować go na jakimś zwierzaku? To niech Fiona podsunie duży palec od nogi.

Chyba się zagalopowała. Bez sensu. Nie zna tej kobiety...

Ale Fiona puściła to mimo uszu. Otworzyła drzwi, a następnie wzrokiem oszacowała aparat.

– Najpierw ja go sprawdzę.

– O kurczę – mruknęła Maggie. – Mam nadwornego ginekologa oraz radiologa.

Zignorowali ją. Oboje przerwali się na tryb kliniczny. Czuła się przy nich jak prowincjonalna gęś. Pacjentka, którą należy zająć się skutecznie i troskliwie.

Max robił to przez całą noc, pomyślała.

– To bardzo proste w obsłudze – oświadczyła Fiona.

– Jakie masz plany na dzisiaj? Upewnij się, że nie stało się jej nic groźnego i wrócisz do nas na festiwal?

Jej. Ona. Każde dziecko wie, że nieładnie mówić o kimś tak bezosobowo. Ona, pacjentka. Ona, kłopotliwy przedmiot nieożywiony.

– W dalszym ciągu zamierzam wrócić do Sydney. Jak tylko się upewnię, że Maggie nie robi nic nierozsądnego – mówił zasadniczym tonem. Nie czekając na jej reakcję lub przyzwolenie, wziął ją na ręce i wniósł do gabinetu.

– Umówiliśmy się, że wracamy oddzielnie. Przecież wiesz, że mam jutro kilka operacji, a Clarissa i Doug chcą zostać do końca. Nie mogę na nich czekać.

– Atmosfera jest fatalna – mówiła Fiona, gdy Max kładł Maggie na stole, po czym Fiona wprawnym ruchem nakierowała kamerę. To prosta procedura. Nie prześwietlała pacjenta, prześwietlała jakieś kolano. – Clarissa i Doug stale się kłócą, do Brendy przyjechał chłopak, a ja mam dosyć muzyki. Wrócę z tobą.

– Okej. Maggie, wygodnie ci?

– Wygodnie. – Czowała się jak worek ziemniaków. Miała ochotę krzyknąć: Hej, tu chodzi o mnie!

– Masz skórzane osłony? – zapytała Fiona, w dalszym ciągu nawet na nią nie spoglądając. – Trzeba osłonić ciążę.

Ciąża. Nie dziecko i nie jej dziecko.

– W szafie – wycodziła przez zęby.

Max ułożył osłonę między aparatem a jej brzuchem, jej córeczką. Annie? Bo nie Archibald. Powinna nad tym głębiej się zastanowić.

Chloe już przestało jej się podobać.

– Okej. Nie ruszaj się – poleciła jej Fiona. – Nie zmieniaj pozycji. Max, odsuń się.

– Teraz głowa – odezwał się Max, gdy zdjęcia kolana były już zrobione.

– Głowa? Dlaczego?

– Kiedy się zderzyliśmy, huknęła głową w słupek.

– Dlaczego wczoraj nie zrobiłeś zdjęcia?

– Dzisiejszej nocy umarła babcia Maggie. Nie mogliśmy jej zostawić.

– Umarła...

– Ze starości – pospieszyła z wyjaśnieniem Maggie, by uniknąć pytań. – Dlatego Max został u nas na noc. Był wspaniały. Ale już mi się nie przyda, a wy powinniście jechać do Sydney. Pospieszmy się, bo tak jak wy muszę wracać do domu.

Fiona wzorowo opisała zdjęcia. Zerwane ścięgno pod kolanem z czasem się zagoi. Głowa w porządku. Fiona życzyła jej szybkiego powrotu do zdrowia oraz szczęśliwego rozwiązania, po czym oddaliła się na „obozowisko”, aby się spakować. Max zaś odwiózł Maggie na farmę, ale już w drodze Maggie ogarnęła ponury nastrój.

Dlaczego po spotkaniu z Fioną wszystko wygląda jeszcze gorzej?

Przed bramą stał znajomy pojazd. Kto by go nie rozpoznał? Srebrzysty karawan to symbol zrozumiały w każdym języku. Max wyłączył silnik i miał wysiadać, gdy go zatrzymała.

– Niczego w domu nie zostawiłeś?

– Nie, ale...

– Ale musisz już jechać. – Starła się, by głos jej nie zadrżał. Na werandzie czekały na nią dwie osoby w szarych uniformach. Taka będzie moja przyszłość, pomyślała. Szara.

Szara przyszłość z małą córeczką? Otrząsnęła się. Może szara do pogrzebu Berty oraz do czasu, aż kolano przestanie jej dokuczać, ale potem będzie już tylko dobrze. A nawet lepiej. Max wyczarował lekarza na zastępstwo. Nawet widok pracowników zakładu pogrzebowego nie mógł przyćmić jej radości.

– Byłeś wspaniały – powiedziała. – Ale Fiona czeka...

– Nie czeka.

– Dobrze wiesz, że czeka. Mnie już nie jesteś potrzebny. Wczoraj byłeś bardzo pomocny i zawsze będę ci za to bezgranicznie wdzięczna. I znalazłeś Johna i Margaret. Moja wdzięczność nie zna granic.

– Jak będziesz chciała podzielić się z nim obowiązkami, to na pewno zostaną na dłużej.

– Może zechcę. Ale to sprawa przyszłości. Jeszcze raz dziękuję ci z całego serca. – Sięgnęła na tylne siedzenie po kule, po czym otworzyła drzwi.

– Maggie... Spojrzała na niego.

– Mógłbym jeszcze zostać i wyjechać jutro o świcie. Nie powinnaś być sama.

– To tylko stłuczone kolano. – Dźwignęła się z fotela. – Poradzę sobie. Poza tym mam Angusa, krowy, psa i ciągniki. To ma być samotność? Musisz wracać do swojego życia. Bardzo ci dziękuję.

Popatrzył na nią i nim się zorientowała, obszedł auto, wyjął jej z rąk kule i oparł je o swoją piękną, ale oszpeconą karoserię.

– Maggie, to ja ci dziękuję. Przypomniałaś mi o...

Zawahał się. O czym? – pomyślała, ale spoglądając mu w oczy, wiedziała, że nie doczeka się odpowiedzi.

– John jest dobry – rzucił bez związku, a ona przytaknęła.

– Jeśli pracował z tobą, to musi być dobry.

– On potrafi pracować z każdym. Z dziećmi, z niemowlakami. John jest w porządku.

– Chcesz przez to powiedzieć, że ty nie jesteś w porządku? – zapytała. – Bo już nie pracujesz z niemowlakami?

– Jestem w dobrej formie.

– Mam nadzieję.

Sprawiał wrażenie... zagubionego? Nie, to za mocne określenie. Wyglądał jak superman, któremu ziemia lekko usunęła się spod nóg, a on nie wie, jak złapać równowagę. Dlaczego nie? – pomyślała.

Dlaczego nie? Miała wielką ochotę to zrobić. Więcej tego faceta nie zobaczy. Co to komu szkodzi? Nie mogła oprzeć się tej pokusie. Co tam Fiona? Jeden pocałunek niczego nie zmieni. Zanim lepiej to przemyślała, jej ręce same powędrowały do jego twarzy. Gdy uniosła głowę, jego wargi były tuż-tuż.

Przez tę jedną słodką chwilę przestał przytomnie myśleć. Całowanie Maggie jest bez sensu. Nie było zaplanowane. Czuł tylko jej wargi i swoje ręce na jej biodrach. Targnęło nim tak silne pożądanie, że... Przestało do niego docierać, jak było to szalone, niestosowne, głupie.

Liczyło się wyłącznie to, że ją całuje. Smakowała miodem. Może to ten sam miód, który jedli rano z grzankami? A może taka słodycz to jej wrodzona cecha? I to ciepło... Fala gorąca, która go zalała, gdy jej wargi domagały się więcej, uprzytomniła mu, że Maggie potrzebuje go tak bardzo jak on jej.

Czy on jej potrzebuje? To jasne, że nie potrzebuje. On nie może nikogo potrzebować. Narażanie się na takie ryzyko... Nigdy!

Wyjedzie i już tu nie wróci. Ona będzie żyła swoim życiem, a on swoim. Ogarnęła go jeszcze większa tęsknota, świadomość, że to może być ten jedyny raz, kiedy trzyma ją w objęciach, palony pożądaniem.

Maggie jest śliczna, śliczna do bólu. W ciężowych dzinsach i kurteczce, taka zmęczona i gruba, a mimo to śliczna. Dostrzegł to jeszcze tam, na szosie, gdy się zderzyli.

Całował ją zachłannie, czując, że teraz świat może się walić. Ale się nie zawalił. Kobieta na werandzie wyraźnie miała dosyć czekania. Ruszyła w ich stronę, zatrzymała się dwa metry od nich, po czym odkaszlnęła znacząco. Współczucie tego poranka było na miejscu, ale nie pożądanie.

Cholera. Maggie odsunęła się nieco, a on miał ochotę zaprotestować, ale kobieta z zakładu pogrzebowego kaszlnęła po raz drugi. Ociągając się, Max wypuścił Maggie z objęć, spoglądając jej w oczy.

Kobieta z zakładu pogrzebowego czekała.

– Doktor Croft?

– To ja – powiedziała Maggie drżącym głosem. –Przepraszam, że kazałam wam czekać, bo doktor Ashton całował mnie na pożegnanie.

Pożegnanie.

Tak, to pożegnanie. Przez chwilę cisnęło mu się na usta, że to nie jest pożegnanie, że to dopiero początek. Ale nagle dziecko kopnęło z całej siły. Oboje spojrzeli na jej brzuch. Dzieli ich jej dziecko.

Obudził się dawny ból. Nie, nie jest na to gotowy. Nie zaryzykuje. Nie, nie, nie.

Dokąd teraz? Donikąd.

Wyjechać? To niemożliwe. Gdyby wyjechał, zostawiłby tu część siebie.

– Fiona czeka – przemówiła Maggie. – Przepraszam za ten pocałunek. Nie mów jej o tym.

– Fiona nie jest...

– Max, jedź już. – Głos jej drżał. – Proszę. Poradzę sobie. Będzie mi łatwiej, jak wyjedziesz.

– Nie chcę cię zostawiać.

– Musisz – powiedziała cicho. – Ty masz swój świat, a ja swój. – Uniosła głowę i się uśmiechnęła. – Wracaj do siebie. I dziękuję za wszystko. Mój bohaterze.

Zawahała się, wspięła się na palce i wargami musnęła go w policzek. Prawdziwy pożegnalny pocałunek.

Odwróciła się do kobiety z zakładu pogrzebowego. – Zapraszam do środka. Już się pani nieźle wyczekała. Szła w stronę werandy, ciężko opierając się na kulach. Nie odwróciła się. Pozwoliła mu odjechać.

Gdyby patrzyła za nim, rozplakałaby się, a i tak kobieta z zakładu spoglądała na nią podejrzliwie.

To bardzo mała społeczność. Nim zapadnie noc, wszyscy się dowiedzą, że doktor Maggie całowała się z nieznajomym, że ma życie erotyczne.

Jakie tam życie erotyczne? Pocałowała go i było to zdecydowanie nie na miejscu. On ma przyjaciółkę. Co jej się roi? Jest pogrążona w smutku. Tak, to o to chodzi, pomyślała, wpuszczając do domu pracowników zakładu pogrzebowego. Wszystko można usprawiedliwić wstrząsem i żałobą. Nie jest sobą. Jutro po przebudzeniu będzie znowu sympatyczną, rozsądną Maggie, która zna swoje miejsce i będzie oburzona swoim wcześniejszym zachowaniem.

Odjechał?

Jechał do miasteczka po Fionę, ale w miarę jak oddalał się od farmy, czuł się coraz gorzej. Zostawił Maggie samą z pracownikami zakładu pogrzebowego. Jak ona sobie poradzi? Poradzi sobie doskonale. To wyjątkowa kobieta.

Pocałowała go. Buzowało w nim tyle sprzecznych emocji, że nie wiedział, jak je uporządkować. Kiedy już zabrał Fionę, a ona zaczęła rozprawiać o medycynie klinicznej, problemach szpitala oraz trudnościach związanych z awansem w szpitalnej hierarchii, był jej za to ogromnie wdzięczny.

Medycyna blokuje biały szum. Odkrył to po śmierci Alice.

Ale gdy znalazł się w szpitalu, biały szum mu towarzyszył, tylko czekając na okazję, by go dopaść. Pracował do północy, potem poszedł na siłownię, ale zamęt go nie opuszczał, gdy kładł się spać.

Maggie, Maggie, Maggie. Zorganizował jej zastępstwo. John nie posiadał się ze szczęścia, że może pomóc, a on musiał się hamować, by nie wygryźć przyjaciela i nie zająć jego miejsca. Zazdrość? Bzdura.

Mimo to leżał, do rana wpatrując się w sufit.

Maggie, niemowlaki, rodzina. Wystawić się ponownie na taki ból? Nie. Trzymaj się z daleka.

Ale pogrzeb Betty...

Wszystko by zniósł, ale nie myśl o Maggie podczas pogrzebu. Wyobraził ją sobie, jak stoi nad grobem Betty tak, jak kiedyś stała nad grobem Williama, jak on stał nad grobem Alice i Daniela...

Nie.

Więc... to będzie ostatnia rzecz, którą dla niej zrobi. Pojedzie na ten pogrzeb. Będzie trzymał się z daleka, może nawet Maggie go nie zauważy. Jeżeli będzie stała w otoczeniu rodziny i bliskich, nawet do niej nie podejdzie. Jeśli go zobaczy, złoży jej kondolencje, odwiedzi Johna i odjedzie. To nic złego.

Podjęcie tej decyzji sprawiło mu wielką ulgę, więc nareszcie opuścił powieki.

Ale w dalszym ciągu nie mógł zasnąć.

Maggie.

TTLR

ROZDZIAŁ SZÓSTY

To był wspaniały pogrzeb. Betty przez całe życie mieszkała i pracowała w Yandilagong, więc pomimo deszczu, a właściwie deszczu ze śniegiem, na uroczystość zjechała się połowa okręgu.

Ale jako najbliższa osoba z rodziny Maggie stała sama. Kiedy umarł William, otaczali ją przyjaciele oraz koledzy z pracy. Była mało znana w Yandilagong, więc nikt nie ośmielił się wziąć na siebie tej roli. I tak pracownik zakładu pogrzebowego osłaniał ją czarnym parasolem, gdy wrzucała pęk róż do grobu babci. Jeszcze nigdy nie czuła się taka samotna.

Angus nie przyszedł. Wiadomo dlaczego. Pożegnał się z matką tej nocy, kiedy umarła, i to mu wystarczało.

Angus jest w dobrej formie, pomyślała, mimo że teraz jego samotność zakłócały dwie małe dziewczynki. John i jego rodzina od trzech dni rezydowali na farmie. Sześcioletniej Sophie i pięcioletniej Pauli zajęło kilka minut odnalezienie cieląt oraz Bonnie. Angus nie rozstawał się z tym stadkiem, więc dziewczynki do niego dołączyły. Przyglądał się im nieufnie jak wszystkiemu, czego nie pojmował, ale już następnego dnia uznał, że są jak cielęta i nie stanowią dla niego zagrożenia.

Podobnie ich rodzice. John i Margaret nie sprawiali Maggie najmniejszego kłopotu, potrafili uszanować jej prywatność, byli sympatyczni, ale się nie narzucali.

Teraz jednak Maggie nie zależało na pełnej szacunku izolacji. Czuła ogromną potrzebę, by ktoś ją przytulił. Ale tak się nie stanie.

Pogrzeb dobiegł końca, więc Maggie czekała, aż podjedzie po nią samochód zakładu pogrzebowego. Przygnębiona popatrzyła na drogę. Max?

Był ubrany stosownie do okoliczności: ciemny garnitur, krawat i grafitowy płaszcz, chyba z kaszmiru, a do tego wielki czarny parasol. Wyglądał absurdalnie atrakcyjnie. Zbliżał się do niej, a ludzie schodzili mu z drogi.

Nadal poruszała się o kulach, więc odczekał, aż do niego podejdzie, po czym uśmiechnął się zniewalająco.

– Co ty tu robisz? – zapytała.

– Pomyślałem, że może byś chciała mnie zobaczyć. – Popatrzył po zebranych, po czym odsunął się na przyzwoitą odległość. – Przepraszam za spóźnienie, ale nagły przypadek zajął mi więcej czasu, niż myślałem, a nie mogłem zostawić pacjentki na stole. Ale skoro już tu jestem, to czy na coś mogę się przydać? Podwieźć cię na stypę czy pojedziesz karawanem?

– Ja nie... ja...

– Podniosłem dach – kusił, a ona się uśmiechnęła. Jak to dobrze, że przyjechał.

Objął ją w pasie i pociągnął pod parasol. Miała wprawdzie płaszcz przeciwdeszczowy z kapturem, ale przeciekał, więc przytulona do niego nareszcie poczuła się bezpieczna z każdej strony.

– Po drodze zajrzałem na farmę – oznajmił, otwierając jej drzwi samochodu. – Od Johna dowiedziałem się, jak cię szukać.

Zauważyła, że auto zostało naprawione i polakierowane. To dobrze, bo bardzo jej się podobał ten aston martin. A może raczej jego właściciel?

– John jest zachwycony – ciągnął Max, siadając za kierownicą. – Również wyposażeniem przychodni, a Margaret już się szykuje do otwarcia gabinetu stomatologicznego. Przez te trzy dni świetnie się zorganizowaliście.

Specjalnie mówił zasadniczym tonem, zdając sobie sprawę, że tego dnia Maggie nie potrzebuje dodatkowych emocji. Przecież i on ma za sobą pogrzeby.

– Tutaj jest pracy dla sześciu lekarzy, ale nie chcą tu przyjeżdżać – odparła, starając się dorównać mu spokojem. Tak, musi odzyskać panowanie nad sobą, mimo że sam jego widok zapiera jej dech w piersiach. – Nikt nie chce być jedynym lekarzem w małym miasteczku bez medycznego wsparcia – wykrztusiła. – To cud, że wiedziałeś o istnieniu Johna. Nie mógłbyś wyczarować więcej takich chętnych?

– Nie jestem czarodziejem.

– Ano nie jesteś. – Mimo to miała wrażenie, że Max jest jej prywatnym dobrym dzinem, który zjawia się, kiedy ona najbardziej tego potrzebuje.

– Nie ma nikogo z rodziny? – zapytał cicho, gdy mijali ludzi wsiadających do aut.

– Nikogo.

– Ktoś chyba jest... choćby w Anglii? Ktoś bliski...

– Mam mnóstwo przyjaciół. – Wysoko uniosła głowę, a on się uśmiechnął.

– Nie wątpię. Ale czy masz przyjaciół, którzy rzucają wszystko i pospieszają ci z pomocą?

– Nie są mi potrzebni – mruknęła. – Ja... Ale dziękuję, że przyjechałeś.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Zawahał się. – Jeśli jestem mile widziany, to może mógłbym zostać na stypie? Oboje już to przeszliśmy – dodał. – Ja pochowałem Alice i Daniela, ty Williama. Na pewno nie będzie gorzej, ale pamiętam dobrze ten niekończący się proces popijania letniej herbaty i dziękowania, dziękowania, dziękowania.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Gdy na niego spojrzała, w jego oczach dostrzegła szczere współczucie.

– Masz cały wolny dzień?

– Załatwiłem zastępstwo. Wieczorem muszę być w Sydney, ale cały dzień mogę mieć dla ciebie.

– Dzięki.

– Mój przydomek to „Szlachetny”, poza tym przepadam za letnią herbatą. Skorzystasz z mojej propozycji?

O co on pyta? Oszalał?

O to, czy ona chce, by jej towarzyszył, gdy będzie zbierała niezliczone wyrazy współczucia od kompletnie obcych ludzi? Czy o to, by był przy niej?

Niezwykły gest. Gdyby poprzedniego dnia zadzwonił z zapytaniem, czy ma przyjechać, odpowiedziałyby, że nie, ale skoro już tu jest, żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie odesłałaby go do domu.

– Tak, proszę, zostań – powiedziała pospiesznie, żeby żadne z nich się nie rozmyśliło.

Max chce ją wspierać przez resztę dnia, więc ona przyjmie tę ofertę. W duchu wiedziała, że przyjmie od niego wszystko, co jest gotowy jej dać.

Zgodnie z przewidywaniami stypa ciągnęła się w nieskończoność, a kiedy ostatni sąsiad Betty uściskał jej dłoń, Max odwiózł ją na farmę.

Nie przestawało padać. Gdy mijali długi szereg ciągników Angusa, Maggie zastanawiała się, co zrobić, by zatrzymać Maxa na dłużej.

Wiedziała, że to nieuczciwe, ale...

– Zjesz z nami kolację? – zapytała, gdy się zatrzymali. – Dzisiaj gotuje Margaret. Jestem pewna, że wystarczy dla nas wszystkich.

– Już mnie zapraszała, ale odmówiłem.

– Aha.

Max spochmurniał.

– Maggie... ja nie potrafię drugi raz pójść tą samą drogą, którą obrałem z Alice. Nie potrafię się zaangażować.

Kawa na ławę.

– Zaangażować? – zapytała ostrożnie.

– Chyba oboje wiemy, co mam na myśli.

Hm, sprawy przybrały nieprzewidziany obrót, ale przynajmniej Max jest szczerzy.

– Uważasz, że szukam drugiego męża – szepnęła, czując, jak niezależnie od jej woli wzbiera w niej złość.

– Wcale tak nie uważam.

– To dobrze. A Fiona?

– Fiona?

– Twoja przyjaciółka.

– Z Fioną pracuję. Nie mam przyjaciółki. Nie miałem nikogo od śmierci Alice.

– Bardzo szlachetnie – zachnęła się. – Alice pewnie już ci poleruje aureolę.

– Maggie, po prostu nie interesuje mnie nowy romans. – Nie potrafił wytłumaczyć bezradności i rozpacz, że nie był w stanie pomóc ukochanej Alice, ani przeświadczenia, że nie przeżyłby drugiej takiej tragedii. – Nie chcę cię oszukiwać.

W jej oczach nie dostrzegł zrozumienia.

– Ty miałbyś mnie oszukiwać? To ja ciebie pocałowałam. I było bardzo przyjemnie. Jak nadarzy się okazja, zrobię to jeszcze raz. Ale to był tylko pocałunek, to nie ma nic wspólnego z moim życiem. A jak uważasz, że nagle stanę się bezradną kobietą bluszczem...

– Nie powiedziałem tego.

– Nie musiałeś. Jestem ci wdzięczna za dzisiejszy dzień. Od początku jesteś dla mnie bardzo dobry i jeżeli w jakiś sposób mogę ci się odwdzięczyć, to powiedz, w jaki. Ale ja nic więcej nie potrzebuję. Szkoda, że nie zostaniesz na kolacji, wiesz dlaczego? Bo John i jego rodzina są przesympatyczni i kolacja z nimi bardzo by rozjaśniła ten ponury dzień. Nie mówmy już o tym. Wystarczy. Jeszcze raz bardzo ci dziękuję. – Chwyciła kule i wysiadła.

Lało. Wybiegł do niej z parasolem.

– Nie – rzuciła mu przez ramię. – Jedź. Ja też nie chcę się angażować. Nigdy nie wiadomo, kiedy stęskniona wdowa zmieni zdanie i za włosy zawlecze cię do swojej jaskini. Spadaj, Max, i z Bogiem!

– Ja wcale...

– Poszukaj sobie innej damy w tarapatach! – krzyknęła przez ramię, kuśtykając przez ogród. – Tę już uratowałeś, więc poszukaj innej!

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Tak, Maggie ma rację, powinien zająć się swoimi sprawami. Nie miał od niej wiadomości przez sześć tygodni. Starał się o niej nie myśleć, bardzo się starał.

Rzucił się w wir pracy. Do tego stopnia, że Anton, współpracujący z nim anestezjolog, się zbuntował i zaproponował mu, by znalazł sobie innego anestezjologa.

– Podczas urlopu miałeś się wyluzować – mruknął Anton. – Ale jak wróciłeś, to cały zespół czuje, że chcesz nas wykończyć. Wiesz co? Liczyliśmy, że między tobą i Fioną zaiskrzy. Bardzo by wam to dobrze zrobiło.

– Nie w głowie mi te rzeczy.

– Ale nie da się żyć bez tego – stwierdził z przekonaniem Anton, który miał żonę, trzyletnie dziecko oraz roczne bliźnięta. Był stale niewyspany i uważał, że wszyscy powinni iść w jego ślady. – Kobieta i szóstka dzieci wyczerpałyby twoją energię, a nas uratowały przed zgonem z przepracowania.

– Wyrabiasz normę za nas dwóch – odciął się Max. – Dobrze ci to idzie. A mnie nie.

– Stary, to kwestia praktyki. Trzeba tylko trafić na właściwą kobietę. To prawda, Fiona ma pewne wady... jej chyba nie ciągnie do pieluch, ale na pewno jest gdzieś kobieta dla ciebie.

Tak, jest, pomyślał Max. Już ją znalazł. Ale brakuje mu odwagi, by pociągnąć to dalej, by wziąć na siebie odpowiedzialność za dragą osobę. Więc nie będzie się w nic wplątywał, poświęci się pracy.

Mimo to przeżywał takie same wahnięcia emocji jak po śmierci Alice. Czuł, że znalazł się na krawędzi otchłani i bał się zrobić krok naprzód. Więc uznał, że najlepiej będzie trzymać się z daleka od Maggie.

Ale jego myśli stale do niej biegły. Kilka razy dziennie kusilo go, by wsiaść do auta i do niej jechać. Ratowały go wyłącznie obowiązki zawodowe. Zabiegi, obchód oddziału, pacjentki czekające pod gabinetem.

Łudził się, że to, co do niej czuje, z czasem osłabnie, a to się nasilało. Pod koniec szóstego tygodnia zadzwonił John.

– Co u Maggie? – wyrwało mu się.

– U nas wszystko w porządku – odparł beztrósco John. – Wszystko gra. Mnóstwo roboty i wspaniali ludzie. Ale, kurczę, Max, to jest sam środek medycznej pustyni. Ja już padam na twarz, a jak tylko Margaret otworzyła gabinet, zgłosiło się tylu pacjentów, że ona już ma dosyć.

– Hm, rozumiem, a co u Maggie?

– Też w porządku, ale... To dlatego do ciebie dzwonię.

– Co się stało? – Ogarnęło go takie samo przerażenie jak wówczas, gdy zauważył u Alice pierwsze objawy zatrucia ciążowego. Oparł się o ścianę.

– Margaret niepokoi się o nią.

– Dlaczego?

– Bo jest taka sama.

Max odetchnął. Samotność nie jest przerażająca. Ale i tak niedobrze. Sama? Dlaczego sama?

– Nie może tu rodzić – mówił John. – Jestem tu jedynym lekarzem i bez wsparcia położnika nie odważyłbym się odbierać porodu. Wszystkie kobiety stąd na czas porodu muszą jechać do miasta. Gdybyśmy mieli położnika z prawdziwego zdarzenia...

– Daj spokój – warknął Max. Wysoko cenił kwalifikacje Johna, ale żeby obejmowały wywieranie presji na innych, na przykład na niego, tego nie przewidział...

– Dobra – roześmiał się John. – Rzecz w tym, że Maggie na dwa tygodnie wynajęła mieszkanie w Coogee. Żeby było blisko morza i szpitala. Tak się składa, stary, że to nasz szpital... znaczy twój.

Coogee. Przedmieście Sydney, dziesięć minut drogi od szpitala, w którym teraz rozmawia z Johnem. Wstrzymał oddech, nagle czując przyciąganie przerażającej otchłani.

– Przyjedzie tu?

– Już tam jest. Wyjechała w niedzielę. Pomyślałem, że ci o tym powiem, żebyś mógł ją odszukać.

Ale to by oznaczało wzięcie na siebie odpowiedzialności.

– John, nie jestem jej przyjacielem – wyrwało mu się. Oczami duszy ujrzał uniesione ze zdziwienia brwi przyjaciela. Głupia odzywka. I chyba okrutna.

A jeśli Maggie uważa go za przyjaciela? Może jednak nie. Kiedy się rozstawali po pogrzebie Betty, była wściekła...

– Ale jest moim przyjacielem – oznajmił John.

Maxowi zrobiło się głupio.

– Przepraszam. Chciałem powiedzieć... dlaczego akurat ten szpital? W Sydney są jeszcze inne szpitale.

– Wpisała się na listę, jeszcze zanim przyleciała do Australii. – W głosie Johna wyczuwało się coraz większą irytację. – Nie podejrzewam, że zrobiła ci na złość. Ale jeśli nie uważasz się za jej przyjaciela...

– Jestem jej przyjacielem, jestem. – Nerwowo przegarnął włosy palcami.

– Chyba jestem, chociaż wcale jej nie znam.

– Przyjechałeś na pogrzeb jej babci. Miejscowi twierdzą, że przez cały wieczór na krok jej nie odstępowałeś.

– Bo potrzebowała wsparcia.

– Myślę, że i teraz go potrzebuje – oświadczył John. – Ona nikogo nie zna w Sydney, poza tym my się o nią martwimy. Do tego stopnia, że jeśli się nią nie zaopiekujesz, to Margaret zostawi mnie z dziewczynkami i sama do niej pojedzie. Więc bardzo cię proszę, miej nad nią pieczę.

– Ona będzie chciała być sama – bronił się rozpaczliwie.

– Nie żartuj! Maggie to nie Angus. Maggie jest towarzyska, wesoła, inteligentna. Wszyscy zdążyliśmy ją polubić. I nie wyobrażamy sobie, żeby mogła być tam sama. Ale jeżeli, jak mówisz, nie jesteś jej przyjacielem...

– Dobra – mruknął. Usłyszawszy źle skrywaną złość w swoim głosie, pomyślał, że jest podły. – Przepraszam. Mam dzisiaj urwanie głowy.

– Nawet tu to słyszać. Ale powiedz mi, dlaczego dajesz się wprzęgać w ten kierat?

– Jest tyle roboty...

– Słyszałeś o delegowaniu obowiązków? Tak, to nie moja broszka, ale oboje z Margaret pracowaliśmy w tym młynie. Poza tym dochodzą do nas pewne interesujące informacje. Przez całą stypę trzymałeś ją za rękę, ale od tej pory nawet do niej nie dzwoniłeś. Teraz zaharowujesz się na śmierć i reagujesz jak przestraszony mięczak, jak cię proszę, żebyś miał na nią oko..

– Dlaczego przestraszony?

– Jak mi powiesz, to będę wiedział. – John parsknął śmiechem. – Margaret wymusiła na niej, żeby zostawiła nam swój nowy adres. Podyktować ci go, czy mamy szukać innego opiekuna?

Czy on chce mieć jej adres? Krótka odpowiedź: nie.

A długa i bardzo trudna?

Oczywiście, że chce. Tak.

Praktycznie całą plażę miała dla siebie.

Był początek września, więc już dyżurowali na niej ratownicy, co bardzo jej odpowiadało. Oprócz niej tylko para niemieckich turystów na płyciźnie skakała przez fale.

Środa to dzień pracy, ale nawet dla niepracujących Australijczyków było jeszcze zbyt chłodno na morską kąpiel. Ich strata, pomyślała, leniwie płynąc na plecach. Pływała rano, a teraz po południu wybrała się popływać po raz drugi. Po urwaniu głowy, jakie miała przez ostatnie miesiące, czuła się tu jak w raju. Nareszcie mogła ograniczyć się do leżenia na wodzie i patrzenia na swój brzuch. Na swoją córeczkę.

Brzuch był tak wielki, że czuła się jak wieloryb, a środowiskiem wielorybów jest woda, pomyślała, odwracając się na bok. Tak, znalazła się w swoim żywiole.

Nareszcie nie musi poruszać się na nogach. Jest rozkosznie nawet mimo tego, że jest sama.

Już niedługo. Tydzień, plus minus kilka dni. Już wkrótce będzie miała dziecko.

Ale w dalszym ciągu będzie osamotniona.

Głupie myśli. Wcale nie jest osamotniona.

Do domu na farmie wprowadził się John z rodziną. Cała czwórka okazała się bardzo sympatyczna i wszyscy ją wspierali. Angus był szczęśliwy, bo miał swoje ciągniki, cieleńta oraz Bonnie. A ona ma Johna, Margaret, Sophie, Paulę i Angusa, a także całe Yandilagong. Dopiero po śmierci Berty poczuła, co to znaczy być członkiem niewielkiej społeczności. Ma w zamrażarce tyle zapiekane z tuńczykiem, ciast i ciasteczek, że wystarczy jej do końca świata.

Przyszłość jawiła się zdecydowanie mniej samotna i bardziej naładowana kaloriami, niż kiedykolwiek jej się śniło. To dlaczego czuje się samotna?

Bo jestem sama akurat teraz, tłumaczyła sobie jak komuś nierozgarniętemu. Samotna to znaczy osamotniona.

Jesteś samotna od śmierci Williama.

Ale nie czułam się samotna. To już mi przeszło.

Dopóki na mojej drodze nie stanął Max.

No właśnie, w tym sęk. Wystarczył jeden przystojny doktor, a jej świat stanął na głowie. Więc przestań o nim myśleć. Od jego wyjazdu z Yandilagong powtarzała to sobie kilka razy dziennie. Pływaj i o nim nie myśl.

Jeszcze kilka razy przepłynęła strzeżone kąpielisko, po czym obserwowała, jak Niemcy zbierają się z plaży. Może i ona powinna zrobić to samo. Niechętnie skierowała się w stronę brzegu. I wówczas zauważyła mężczyznę idącego w jej kierunku. Znajoma sylwetka.

Zdecydowanie znajoma. Zamrugwała z niedowierzania, wmawiając sobie, że śni.

To jawa. Max.

Przez moment miała ochotę zawrócić na pełne morze. Kiedy się żegnali, była wściekła. Próbowwała na nowo rozniecić w sobie złość, ale bez skutku.

Unosząc się na wodzie, patrzyła, jak pozdrawia ratowników, zdejmuje buty, skarpetki, podwija nogawki spodni i wchodzi do wody. Osłaniał dłonią oczy, by lepiej ją widzieć. Max.

Wykorzystując nadpływającą falę, większą od innych, dała się jej wynieść prawie na sam brzeg. Otarła oczy i odgarnęła włosy z twarzy. Max stał pięć metrów od niej.

– Co ty tu robisz? – wykrztusiła.

Zamiast od razu odpowiedzieć, przez dłuższą chwilę lustrował ją wzrokiem. Jasne.

Uznała wcześniej, że kupowanie ciężowego kostiumu będzie wyrzucaniem pieniędzy. Kto miałby ją w nim podziwiać? Wymyśliła, że na plażę będzie schodziła w sarongu, który zdejmie w ostatniej chwili i od razu wejdzie do wody. Pod spodem miała spłowiełe różowe bikini. Góra wyglądała przyzwoicie, no, prawie przyzwoicie, bo w ciąży biust zrobił się jej bardziej obfity, za to dołu nie widziała.

Max jak zawsze prezentował się nienagannie. Elegancka koszula rozpięta pod szyją, podwinięte rękawy, a w ręce para czarnych lśniących butów z wepchniętymi do środka skarpetkami. Bardzo wytwornie, pomyślała. A ja...

Wolała o tym nie myśleć.

– John mi kazał sprawdzić, co się z tobą dzieje. Hm, oczywiście, nie przyszedł tu z własnej woli.

– Aha – powiedziała. – Mógł do mnie zadzwonić. Dowiedziałby się, że nic mi nie trzeba, a ty nie musiałbyś się fatygować. – Wychodziła na brzeg.

– Chciałem cię zobaczyć. – Zrobił krok naprzód, jakby chciał jej pomóc, ale się zatrzymał.

Zauważyła to. Nie chce jej pomóc. Nie chce jej dotknąć. W porządku. Stojąc po kolana w wodzie, otrząsnęła się jak pies, na wszystkie strony przyskajac wodą z włosów. Do kąpieli je splotła, ale warkocz nie wytrzymał uderzeń fal. Na pewno wyglądam jak wieloryb, pomyślała.

Zdecydowanie nie w typie Maxa Ashtona.

– Aha. To już mnie zobaczyłeś. Zadowolony? – wycedziła przez zęby.

– Maggie, możemy porozmawiać?

– Jak podejdziesz bliżej, to, nie daj Boże, zawrócisz mi w głowie.

– Głupia odzywka – przyznał. – Przepraszam, że to powiedziałem.

Spiorunowała go wzrokiem, ale po namyśle doszła do wniosku, że to dziecinada. Może nawet poczułaby się lepiej, zdobywając się na wielkoduszność.

– Drobiazg, trochę przesadziłam.

Należała mi się nauczka.

– Nie, to nie ty zachowałeś się niestosownie.

Tak wygląda reakcja na wielkoduszność? Zgrabnie zbijamy kogoś z tropu i wpędzamy go w poczucie winy? Super.

– Dziękuję. Przeprosiny przyjęte – oznajmiła z godnością, ale nie ruszyła się z miejsca. Wyjść z wody niedobrze, podejść do niego jeszcze gorzej.

– Wspaniale pływasz – odezwał się oficjalnym tonem.

– Jak na Angielkę. – Przyglądała mu się uważnie. – William większość wakacji spędzał w Yandilagong. Berty nauczyła go pływać, a on mnie. Po studiach stażowaliśmy w Durness w Szkocji. Nie masz pojęcia, jak lodowata jest tam woda. Tutaj to po prostu sauna.

Paple? Możliwe.

– Wydaje mi się potwornie zimna. – Patrzył na nią z rezerwą, jakby rzeczywiście gadała jak najęta.

Uważa, że nadal może nią kierować? Może to nawet prawda, ale ona się nie podda.

– Co ty mówisz?! – Rzuciła mu wyzywające spojrzenie, bo dalej utrzymywał dystans, a jej zależało na tym, by ich szanse się wyrównały. – Nie jest zimna – skłamała. – Wejdz i sprawdź.

– Nie mam kąpielówek.

– Masz bokserki czy kalesony?

– Nie... – bąknął wyraźnie speszony. Dobrze mu tak, pomyślała. Fantastycznie. O to jej chodzi.

– No...?

– Bokserki – wyznał.

– To w czym problem? – nalegała, zaskoczona własną bezczelnością. Co jej szkodzi? Ma coś do stracenia? – Twoja publika to dwóch ratowników i ja. Będzie pan występował przed pustą salą, doktorze.

Nigdy tego nie zrobi. A może? Nie ruszając się z miejsca, spoglądała na światowca z kosztowną marynarką przerzuconą przez ramię i włoskimi butami w ręce, który zastanawia się, czy nie ucierpi na tym jego godność.

Moment, w którym uznał, że może zaryzykować, nie uszedł jej uwadze. Omiótł ją powłóczystym spojrzeniem, po czym wycofał się na suchy piasek, rzucił marynarkę oraz buty i rozebrał się do bokserek. Wstrzymała oddech.

Kiedy zobaczyła go po raz pierwszy, pomyślała, że musi spędzać dużo czasu na siłowni, teraz jej domysły się potwierdziły. Dlaczego lekarz, który całe dni poświęca chorym, ma takie ciało?

Na szczęście tok jej myśli zaburzył fakt, że Max już wbiegł do wody. Poruszał się jak człowiek z misją. Widziała, jak w pierwszej chwili w zetknięciu z lodowatą wodą doznał szoku, który jeszcze bardziej wzmocnił jego zdecydowanie. Rzucił się głową w pierwszą falę, po czym wypłynął tuż za nią. Obserwowała go, czując, że w jej głowie kłębią się dziwne myśli.

Bał się, że zawróci jej w głowie?

Już jej zawrócił. Powinna się pozbierać.

Podpłynął do niej, po czym stanął przed nią. Wyglądał dziesięć lat młodziej i jeszcze bardziej...

Kobieto, pomyślała, nie trzeba ci więcej komplikacji, masz już wystarczająco dużo problemów.

– K...kła...małaś. Ta woda jest lodowata. – Szczękał zębami, zapominając o wszelkiej brawurze, a ona tylko się uśmiechnęła i kucnęła w wodzie.

– Mięczak. Ja wytrzymałam pół godziny. – Złagodniała. – Okej, na początku jest zimna, ale trzeba pływać, żeby się rozgrzać.

– Pływałaś pół godziny?

– Było cudownie. O, skóra już mi się marszczy, chyba powinnam wyjść, ale jak chcesz popływać, to ja posiedzę z ratownikami.

– Maggie...

– Idź pływać. Wyglądasz na faceta, który powinien się rozluźnić. Nie wiem, dlaczego jesteś spięty, ale moje doświadczenie podpowiada, że wysiłek fizyczny dobrze robi w takich sytuacjach. Idź pływać.

– Nie popływasz ze mną?

– Bliskość nie jest wskazana. – Zabrzmiało to bardzo surowo. – Sam tak mówiłeś. A teraz spłucz z siebie wszystkie troski, ale musisz zrobić to sam.

Przepłynął zatokę sześć razy. Maggie, owinięta dużym niebieskim ręcznikiem plażowym w żółte plamy, siedziała na piasku i obserwowała go, rozmawiając z ratownikami.

Był za daleko, by widzieć ich twarze, by się domyślać, o czym rozmawiają, ale wyglądali na wesołych. W pewnej chwili mu pomachała. Rozmawiają o nim?

Czy to ważne? Odwiedził ją. I widzi, że Maggie doskonale daje sobie radę bez niczyjej pomocy. Nie musiał przyjeżdżać do Coogee.

I nie ma potrzeby zostawać tu dłużej.

Gdy wyszedł z wody, Maggie i ratownicy zaśmiewali się z jakiegoś dowcipu. Sprawiali wrażenie dobrych znajomych, ale gdy zobaczył ich twarze, zorientował się, że ratownicy widzą w niej bardzo atrakcyjną kobietę pomimo zaawansowanej ciąży.

Zazdrość? Tak, jest zazdrosny, co pokazuje, jak absurdalna jest ta sytuacja.

Daj sobie spokój, stary. Zmywaj się stąd jak najprędzej. Ale gdy Maggie się podniosła, by wyjść mu naprzeciw, zapomniał o bożym świecie.

Niezwykły ręcznik. Ogromny, niebieski, w żółte słoneczniki. Owinięta nim wyglądała jak... jak...

– Jak słoń – wyjęła mu z ust.

Stanął jak wryty.

– Słucham?

– Ci dwaj mówią, że wyglądam jak słoń. Jak słoń wśród słoneczników. Jak słoń zabawka.

– Wyglądasz uroczo – bąknął, a ratownicy popatrzyli na niego jak na idiotę. Chyba mieli rację, bo „uroczo” było kompletnie nie na miejscu.

Seksownie, owszem.

– Coś tak wielkiego nie jest urocze – zachnęła się. – Osobiście wolę wieloryba od słonia. Urocza, seksowna mama wieloryb. Ty mówisz, że jestem urocza, oni że seksowna, a moim zdaniem jestem ogromna. – Ściągnęła z siebie ręcznik. – Chcesz? Powinieneś się wytrzeć, bo zmarzniesz. – Nim odpowiedział, wręczyła mu pęk słoneczników.

Bez sensu byłoby nie skorzystać.

Ale ręcznik był przesiąknięty jej zapachem, lekko cytrynowym z domieszką zapachu morza. Może to zapach jej proszku do prania? A może to ona tak pachnie. Cytrusowo, czysto i pięknie.

Uśmiechała się promiennie, jakby naprawdę się cieszyła, że ją odwiedził i że zalecona przez nią kąpiel sprawiła mu przyjemność.

Tak, piękna, seksowna i urocza.

Sięgnęła do torby po sarong, owinięła się nim, włożyła sandaalki. Zbierała się do domu.

– Było cudownie – powiedziała. – Twoja wizyta sprawiła mi wielką radość, ale robi się chłodno. Dziękuję, że przyjechałeś. Cześć.

Odprawiła go. Zrobił swoje, może odejść.

– Nie zaprosisz mnie na drinka? – zapytał.

Obrzuciła go badawczym spojrzeniem.

– To ryzykowne.

– Dlaczego?

– Wiesz, dlaczego.

– Nie bądź śmieszna. Jestem cały zapiaszczony. Mieszkasz przez ulicę. To twój portier mi powiedział, gdzie cię szukać.

Co go opętało? Powinien odjechać, a się stawia.

– Ale pod prysznic wchodzisz drugi – zastrzegła się. – To jest mój prysznic i ja skorzystam z niego pierwsza.

– Umowa stoi.

Ratownikom wyraźnie zrzędyły miny, gdy pomachała im na pożegnanie.

– Do jutra, chłopaki! – zawołała na odchodnym.

– Chyba że wylądujesz w szpitalu – rzucił jeden z nich. Wówczas przez jej twarz przebiegł cień.

Boi się porodu? – pomyślał Max. Ale ona błyskawicznie zapanowała nad emocjami.

– Termin mam za tydzień, a pierwsze dziecko zazwyczaj się ociąga. Oceniam, że przede mną jeszcze dwa tygodnie pływania.

– Na wszelki wypadek, powodzenia. I zawiadom nas, co się dzieje.

Powoli szli plażą. Max już się ubrał, ale nadal czuł się... inaczej. Opowiadała ratownikom o swoim dziecku. Zaprzyjaźniła się z nimi. Każdy w krótkim czasie staje się jej przyjacielem.

Jest piękna. Ze słonecznikami na ramionach wygląda jak niebiesko–żółty wieloryb. Cudowna!

– Mam ochotę na lody – stwierdziła, gdy znaleźli się na ulicy, więc kupił dwa lody.

Jak ona ładnie je lody, pomyślał, gdy siedzieli na ławce w parku. Metodycznie. Uroczo.

– O, ty gryziesz – odezwała się nagle.

– Co takiego?

– Odgryzasz lody. Nie rozumiem, jak można gryźć lody. Zamrozi ci się przełyk. Lizanie ma więcej sensu.

– Skąd wiesz, o czym myślałem?

– Po prostu wiem. – Uśmiechnęła się chytrze. – Masz bardzo wyrazistą twarz – wyjaśniła.

– Super, dzięki.

– Nie ma za co. Praktykuję czytanie z twarzy. To o wiele bardziej wiarygodne niż czytanie z ręki... Poza tym to moje ulubione zajęcie.

– Nie podoba mi się, że to lubisz.

– Trudno – odparła beztrosko. – Ale gryzienie lodów jest absurdalne. Już go skończyłeś, a ja jeszcze mam połowę. Zawsze... zawsze tak szybko konsumujesz przyjemności?

Patrzyła na niego z błyskiem w oku, wyzywająco, a on poczuł gwałtowną reakcję swojego ciała. Oby nie zaczerwienił się jak wyrostek!

Maggie bawi się jego kosztem. Spodziewał się, że zastanie ją osamotnioną, przestraszoną, może nawet w depresji. Niewykluczone, że to wszystko rzeczywiście jej dokucza, ale doskonale to ukrywa.

– Kiedy miałaś ostatnie badania prenatalne? – zapytał, starając się o zasadniczy ton, ale nie wypadło to najlepiej.

– Wczoraj, doktorze. – Uniosła wysoko brwi, nie przestając się uśmiechać. – Jestem bardzo grzeczna.

Wytrącała go z równowagi i zdawała sobie z tego sprawę, więc nie pozostawało mu nic innego, jak brnąć dalej.

– I co powiedział lekarz?

– Lekarka. Przesympatyczna pani położnik o imieniu Helen. Stwierdziła, że główka jeszcze nie jest ustalona, więc muszę poczekać około tygodnia.

– I co zamierzasz robić przez ten czas?

– Będę czytać – odrzekła z dumą. – Będę czytać i czytać, i jeszcze raz czytać. Nie romanse, doktorze, ani nie kryminały. Literaturę medyczną. Jeśli mam zostać lekarzem rodzinnym, to muszę być dobra. Czy wiesz, że znowu pojawiły się pluskwy?

– Pluskwy?

– Podróże po całym świecie sprawiły, że pluskwy znowu się rozprzestrzeniają – pouczyła go. – Jeśli stawi się u mnie pacjent z czerwonymi plamami, powinnam go zapytać, czy ostatnio nie nocował w hotelu. A jak w miejscowym hotelu zostanie stwierdzona obecność pluskiew, to jest cała lista rzeczy, które należy zrobić. – Uśmiechnęła się. – Przeczytałam wytyczne ministerstwa zdrowia. Wiedziałeś, że za dnia chowają się w szwach materaca?

I nie wystarczy spryskać hotelu środkiem owadobójczym. To ma poważne skutki zdrowotne. Muszę wiedzieć, co mam robić. Mogę nawet zaniknąć taki hotel, jak jego właściciel nie dopełni wszystkich procedur.

– Ciekawe.

– Owszem, ciekawe – mruknęła z odcieniem dezaprobaty. – Nie podoba mi się ten lekceważący ton. Jak pogryzą cię pluskwy, to pierwszy polecisz do lekarza odpowiedzialnego za okręg. Jeszcze dużo trzeba się nauczyć.

– Bez wątpienia.

– Tego nie wolno ignorować. – Spiorunowała go wzrokiem.

I nagle to wszystko: pluskwy, lody, jej kaśliwy ton przestały być dla niego ważne.

– Chyba już pójdę – powiedziała, wstając z ławki. – Ten prysznic... to chyba słaby pomysł.

– Chyba słaby. – O co tu chodzi?

Wiedział doskonale. Po prostu ciągnęło go do tej kobiety uosabiającej wszystko, czego unikał jak ognia. Odpowiedzialności. Poświęcenia. Zaangażowania emocjonalnego.

Który z jego znajomych lekarzy przejąłby się pluskwami? Ale Maggie czuje się odpowiedzialna za wszystko, co jest bliskie jej sercu.

Za farmę, za Angusa, za mieszkańców Yandilagong.

Za niego? No proszę. Spoglądając jej w oczy, pomyślał, że zna ją na wylot. Gdyby jej pragnął...

Bardzo jej pragnął. Nie, nie. Skok w tę otchłań...

– Maggie...

– Nie – szepnęła. – Ty nie chcesz tego... co jest między nami. Nie teraz, a może nigdy. Jedź już.

– John prosił, żebym miał nad tobą pieczę.

– Możesz do mnie zadzwonić. John też może do mnie dzwonić. Już dzwonił, więc ty nie musisz.

– Czy czegoś ci potrzeba?

– Nie.

– To znaczy, że to koniec.

– Tak. – Odwróciła się. Chwilę później...

Stali w miejscu, gdzie piesi przechodzili z parku przy plaży do sklepów. Sygnalizator na przejściu nie działał. Kiedy siedzieli na ławce i jedli lody, Max

niemal podświadomie odnotował zamieszanie na ulicy: pisk opon, odgłos klaksonów, stukot obcasów na asfalcie.

To auto wypadło praktycznie znikąd. Pędziło z taką szybkością, że inne samochody zwalniały. Mijało je z piskiem opon i gnało w stronę skrzyżowania. Zdecydowanie przekraczało dozwoloną prędkość, nawet gdyby nie było tam ludzi.

A ludzi było pełno. Rodziny wychodziły z parku, turyści z lodami i aparatami fotograficznymi zmierzali w stronę sklepów, dwóch urzędników w ciemnych garniturach szło w kierunku parkingu, młoda matka pchała wózek.

Na odgłos pisku opon wszyscy znieruchomieli.

Nikt nawet nie krzyknął. Słyszać było tylko ryk silnika.

Żółty błysk, odgłos uderzenia i tłuczonego szkła. Jakieś ciało przeleciało nad maską.

Samochód się nie zatrzymał, wręcz przyspieszył, z rykiem silnika gnając pod górę, przez następne nieczynne światła, po czym zniknął za zakrętem.

Pozostawiając za sobą chaos.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wszyscy zamarli w bezruchu niczym chór w tragedii greckiej. Aż ktoś krzyknął.

I nagle Maxa już nie było u jej boku. Porażona tym, co się stało, nawet nie zauważyła, kiedy zniknął. Teraz klęczał przy bezwładnym ciele na jezdni. Boże, to dziecko.

Odrzuciła loda oraz torbę. Selekcja priorytetów. Max zajmuje się dzieckiem. Są inne ofiary?

Tak. Pośrodku ulicy stała kobieta z wózkiem, tępo wpatrzona w dziecko leżące trzy metry dalej. Przeniósłszy na nią wzrok, Maggie zauważyła jej ramię, z którego lała się krew. Doskoczyła do niej, chwyciła ją za rękę i wysoko ją uniosła.

– Siadaj – powiedziała, ale kobieta z przerażeniem wpatrywała się w dziecko, nad którym pochylał się Max.

– Nie, ja muszę...

– Pomóż mi! – krzyknęła Maggie do stojącego nieopodal chłopaka z zielonym irokezem, w T-shircie z nieprzyzwoitym napisem. W innej sytuacji byłaby zszokowana, ale nie teraz. – Dawaj koszulkę. – Chłopak błyskawicznie się rozebrał. – Pomóż mi ją posadzić. – Wspólnymi siłami posadzili ją na ziemi. Po chwili, rozluźniwszy się nieco, kobieta się położyła.

Krew z ramienia tryskała strumieniami, więc Maggie w dalszym ciągu go nie opuszczała. Wolną ręką chwyciła chłopaka za rękę i zacisnęła jego palce na przegubie kobiety.

– Trzymaj ją do góry. – Sama zajęła się skręcaniem T-shirta.

– Grace... – wykrztusiła kobieta.

– Jestem lekarzem – przedstawiła się Maggie, owijając ramię koszulką. – Jest nas tu dwoje. Doktor Ashton już się zajął Grace, a ja tobą. Zanim cię do niej puszcze, muszę zatamować krwawienie.

Zatrzymanie krwawienia to teoretycznie nic trudnego, ale nie z rozerwanej tętnicy. Muszę to zrobić, pomyślała Maggie, zaciskając prowizoryczną opaskę z całych sił, aż kobieta krzyknęła z bólu.

– Karetka!

Ku zdumieniu Maggie, oraz ogromnej uldze, chłopak, Irokez, przez komórkę wydawał polecenia. Nie miał więcej niż piętnaście lat, a mimo to postąpił jak odpowiedzialny wykwalifikowany ratownik.

– Esplanada, Coogee. Wypadek drogowy. Dwie osoby poważnie ranne. Wszędzie krew. Szybko!

– Zaraz zwymiotuję – jęknął ktoś za ich plecami.

Chłopak błyskawicznie się odwrócił.

– To niech pani stąd odejdzie, zanim pani to zrobi – warknął. – I niech mi pani da swój sweter. Musimy zrobić poduszkę.

– Słusznie – powiedziała Maggie, odbierając sweter, który ktoś jej podał, nie kobieta, którą zemdliło, ale to nieważne, liczyło się tylko to, że mają poduszkę. – Trzymaj rękę w górze.

Nie po raz pierwszy przeszło jej przez myśl, jak trudno przewidzieć, od kogo w grupie osób na miejscu wypadku można oczekiwać współpracy.

Czy ktoś pomaga Maxowi? Może jest mu potrzebna? Nie mogła tam spojrzeć. Jeszcze nie.

Krwawienie dzięki Bogu słabło. Nie wiadomo, ile krwi straciła kobieta w pierwszych sekundach, bo rana ciągnęła się od barku aż do łokcia, a kałuża krwi była ogromna.

– Jeszcze jeden T-shirt! – zawołała przez ramię. Od razu go dostała. – I ręcznik! – Jej słoneczniki zostały na chodniku, więc znajdowały się poza zasięgiem. I to ktoś jej podał.

Pospiesznie złożyła go w prowizoryczny opatrunek na całą ranę, a następnie umocowała go koszulką, związując rękawy na supeł. Opaska uciskowa jest, ucisk na ranę założony, Irokez w dalszym ciągu trzyma w górze ramię.

– Grace... – jęknęła kobieta.

Maggie nareszcie mogła odwrócić od niej wzrok.

Max pracował sam, nikt mu nie pomagał. Wokół niego stał wianuszek gapiów. Ona ma pomocnika w osobie Irokeza, poza tym krwawienie już jest pod kontrolą, a to oznacza, że może zająć się czymś innym.

– Jak ci na imię? – zwróciła się do kobiety, delikatnie gładząc ją po policzku. – Spokojnie. Razem z Irokezem opanowaliśmy krwawienie. Będzie dobrze, ale muszę się dowiedzieć, jak ci na imię.

– Judith...

– Ta dziewczynka... to twoja córeczka?

– Tak. W wózku jest Thomas. Grace... Grace...

– Grace zajmuje się doktor Ashton. On jest bardzo dobrym lekarzem. Wie, co robić. Pójdę teraz do nich.

– Thomas...

– Thomasowi nic się nie stało. – Rozejrzała się po gapiach. Wśród tłumu zauważyła starszą kobietę, która już się odwracała, jakby chciała odejść, nie mogąc patrzeć na to, co się stało. Tak się zachowują ludzie rozsądni na miejscu wypadku. Jeśli nie mogą pomóc, odchodzą. A ta sytuacja wymagała osoby rozsądnej.

– Może się pani zająć dzieckiem w wózku? – zawołała za nią Maggie.

– Ja?

– Tak. Jak pani na imię?

– Mary. Ja ich znam. Mieszkają po sąsiedzku.

– Dobrze się składa. – Przywołała Mary bliżej, by Judith mogła jej się przyjrzeć i nabrać zaufania do zatroskanej starszej pani. – Mary jest waszą sąsiadką. Zaopiekuje się Thomasem. Irokez ma trzymać twoją rękę w górze do przyjazdu karetki, żeby rana znowu nie zaczęła krwawić, a ja teraz pójdę pomóc doktorowi Ashtonowi. Jak obiecasz, że nie wstaniesz, to Grace będzie miała opiekę dwóch lekarzy.

– Niech pani do niej idzie – odparła Judith bez wahania.

Słyszając za plecami jej kroki, odetchnął z ulgą. Maggie jest kompetentna, szybka i pewna siebie. Ludzie bez namysłu wykonują jej polecenia, wyczuwają jej autorytet, mimo że jest w zaawansowanej ciąży i owinięta żółtym sarongiem.

Tyle krwi... Kobieta, którą zajęła się Maggie, ma rozerwaną tętnicę, ale on nie może jej pomóc, bo on też ma ciężki wypadek.

Słyszał głosy za plecami, słyszał, jak kobieta podawała imiona dzieci. Ta dziewczyneczka ze złotymi lokami, w rozkosznej różowej tiulowej spódnicy, to Grace.

Dziecko było bliskie utraty przytomności. Biorąc pod uwagę siłę, z jaką upadła na jezdnię, to cud, że jeszcze jest przytomne. Ale podobnie jak jej matka traci krew w zastraszającym tempie. Rozerwana tętnica udowa? Na pewno.

Zdjął koszulę, by zrobić opaskę uciskową. Noga dziewczynki leżała pod nienaturalnym kątem, z rany na brzuchu leniwie sączyła się krew, wszędzie paskudne otarcia, różowa spódnica zachlapaną krwią.

– Spokojnie, maleńka, spokojnie – szeptał, opatrując ją, a ona spoglądała na niego oczami pełnymi strachu i bólu. – Potrafił cię samochód, a ja jestem doktorem i chcę ci pomóc.

– Mama...

Nagle jej oczy się zapadły, a ciało zwiotczało. Nie! Utrata krwi. Wstrząs hipowolemiczny.

Cisnął niedokończoną opaskę na ziemię, by ująć jej twarzyczkę w dłonie. Oddech. Ucisk klatki piersiowej. Z rany na nodze znowu buchnęła krew.

W tej samej chwili uklękła przy nich Maggie.

– Ja zajmę się nogą, ty oddychaniem – zarządziła. – Do roboty.

Nareszcie ma pomocnika.

Serce przestało pracować z powodu utraty krwi. To oczywiste. Należy przywrócić małej oddech, ale nie ma większego sensu pobudzanie serca, jeśli nie zahamuje się utraty krwi. Ale mając Maggie u boku, już nie musi się martwić krwotokiem. Może się skupić na reanimacji.

Wydech, raz, dwa, trzy...

Wydech, raz, dwa, trzy...

– Karetka jedzie – rzuciła Maggie, a Max spojrzał na chłopaka z zielonym irokezem, który wytrwale trzymał w górze rękę matki dziewczynki.

Wzrok Maggie powędrował w tę samą stronę.

Irokez uniósł pięść z wyprostowanym kciukiem na znak, że dobrze mu idzie, więc wróciła do swojego nowego zadania. Wydech, raz, dwa, trzy...

– Ustawię nogę – powiedziała. – Przy takim złamaniu nie mamy szansy zatrzymać krwawienia. – Bez chwili wahania jednym stanowczym ruchem ułożyła nogę dziewczynki w prawidłowej pozycji.

Max nadal robił swoje. Wydech, raz, dwa, trzy... Wydech, raz, dwa, trzy...

Klatka piersiowa dziewczynki drgnęła. Potem drugi raz już bez wspomagania.

– Boże, spraw... – wyszeptała Maggie.

Dziecko oddychało. Krwawienie spowolniało, ale nie z powodu zgonu.

– Karetka. – Dopiero gdy Maggie to powiedziała, Max usłyszał ryk syreny przebijający się przez szum natężonego ruchu ulicznego. Nadchodzi pomoc.

Plazma, kroplówki dla matki i dla dziecka. Jeśli uda się im przekazać Grace ratownikom, zanim jej serce znowu się zatrzyma, mała ma szansę na przeżycie.

W końcu ratownicy dotarli na miejsce wypadku. Czterech specjalistów wzięło się do pracy. Kroplówki, maski tlenowe, środki uśmierzające, stabilizacja, nosze. Krótkie konkretne pytania. Kto brał udział w wypadku? Kto go spowodował? Czy ta krew na ziemi to krew Maggie? Maxa? Irokeza?

Dziecko w wózku... Czy dokonano identyfikacji?

– Ja ich znam – odezwała się Mary, która teraz trzymała niemowlę na rękach. – Jak chcecie, pojedę z wami do szpitala i będę się zajmować małym, aż ktoś po niego przyjedzie. Podam wam ich dane.

– A pani? – Ratownik zwrócił się do Maggie. – Potrzebna pani pomoc?

– N–nie – odparła, ale nie wyglądała przekonująco. Ciężarna w zaawansowanej ciąży, umazana krwią, mocno poruszona.

– Ja się nią zajmę – oświadczył Max, obejmując ją w pasie i przyciągając do siebie.

– Dziwnie się czuję. – Irokez nagle się zachwiał, po czym osunął się prosto w ręce ratownika.

– To bohater – wyjąkała Maggie, gdy nosze z Irokezem wsuwano do karetki.

– No to mamy dodatkowego pasażera – mruknął kwaśno ratownik. – Dobrze, że zdążyliśmy. W całym mieście są przerwy w dostawie prądu i na ulicach panuje totalny chaos. Mimo to udało się wam uratować dwa istnienia ludzkie.

Karetką odjechała. Potem policjanci spisywali zeznania świadków i zbierali odłamki szkła do badań kryminalistycznych, a służby oczyszczania miasta zmyły krew z asfaltu. Kilka minut później po wypadku nie został żaden ślad. Zapanował spokój.

Tylko Maggie wyglądała nieswojo.

– Hm, ustaliliśmy, że prysznic to słaby pomysł – zauważył Max, a ona podniosła na niego wzrok. Dopiero wtedy się zorientował, że nie wygląda lepiej od niej.

– Wątpię, czy wpuszczą nas do domu – odparła niepewnym głosem.

– Powinnaś była pojechać tą karetką.

– Dlaczego? Nic mi nie jest. – Pokręciła głową. – Ten zboczeniec...

– Nie myśl o tym. Chodźmy doprowadzić się do porządku.

– Potrafisz przekonać mojego portiera, żeby nas wpuścił?

– Stanę na głowie, żebyśmy mogli się umyć – obiecał ponurym tonem. –

Ale, Maggie, spisaliśmy się na medal.

– Tak, to prawda – odparła, po czym wybuchnęła płaczem.

Szłochwała przez całą drogę aż do drzwi mieszkania, nawet wtedy, gdy Max wyjaśniał zaskoczonemu portierowi, co się stało. W holu panował półmrok.

– W tym tygodniu już kilka razy wyłączali światło – mówił mężczyzna, prowadząc ich na schody. – To dlatego nie było tam sygnalizacji.

Nie miała siły go słuchać. Co się z nią dzieje? Przecież wielokrotnie dyżurowała na oddziale ratunkowym. Dlaczego tym razem ledwie trzyma się na nogach?

Gdyby nie to, że Max ją podtrzymywał, usiadłaby na ziemi i do rana by się nie ruszyła.

Przestała w końcu płakać, ale odrętwienie emocjonalne nie ustępowało. Nie protestowała, gdy Max wprowadził ją do łazienki i postawił pod prysznicem. Gdy odkręcił kran, a ona bezsilnie oparła się o ścianę, zaklął pod nosem, zdjął buty i stanął wraz z nią w strumieniach ciepłej wody. Najpierw spływała z nich woda czerwona, potem różowa, a na koniec bezbarwna.

Max miał na sobie tylko spodnie, a ona sarong. Może już był czysty, ale jej się wydawało, że nadal jest zakrwawiony. Uch! Odrzuciła go jednym ruchem, a wówczas woda ponownie zabarwiła się na czerwono.

Góra od bikini też była brudna, więc zsunęła ramiączka, a Max po chwili wahania pomógł jej ją rozpiąć, a ponieważ cały czas drżała, mocno ją przytulił.

Co ona wyprawia?! No to co? Nie ma siły się tym przejmować, więc pozwoli mu się przytulić.

Potrzebuje takiego kontaktu. Potrzebuje Maxa.

I czegoś jeszcze. Chciałaby być dla niego piękna, pomyślała jak przez mgłę, mimo że to takie naiwne, głupie marzenie.

– Maggie... – wyszeptał.

– P-przepraszam. – Nie potrafiła zapanować nad drżeniem głosu ani nad tym, co chodzi jej po głowie. – Przepraszam. Ja... To chyba przez ten dziewiąty miesiąc. Przez hormony. Ja nie... To, co mi tu aplikujesz, chyba niewiele ma wspólnego z medycyną.

– Staram się wczuć w rolę twojego lekarza prowadzącego.

No nie.

– Nie wychodzi ci to najlepiej.

Stali w strumieniach ciepłej wody, w półmroku, bo do łazienki docierało tylko światło wpadające przez okno w sypialni. W ramionach Maxa poczuła się jak w przytulnej, bezpiecznej jaskini. Tak blisko...

Bliżej niż z Williamem?

Nie potrafiła odpowiedzieć. Do tej pory, ilekroć myślała o Williamie, ogarniał ją smutek. Teraz, gdy została brutalnie wypchnięta poza swoją strefę bezpieczeństwa w ramiona nowego mężczyzny jej życia, William stawał się wspomnieniem, którego nie można zdradzić, duchem, który pozostanie wyłącznie obserwatorem.

Wraz z tym odkryciem przyszła świadomość, dokąd prowadzi ją serce. Zamurowało ją.

Chciała się odsunąć, ale Max przytulił ją mocniej. Do serca. Przeszkadzał jej brzuch. Mimo że miała na sobie tylko dół od bikini, była naga, ale nadal ogromna. Jednak

Max trzymał ją jak kogoś, kogo się kocha, jakby to dziecko w jej brzuchu było jego dzieckiem.

Nie. On tego nie chce. Jakim cudem miałby chcieć?

– Ty tego nie chcesz.

– Czego nie chcę, Maggie?

A czego ona chce? Wiedziała bardzo dobrze, ale nie wolno jej tego mówić, więc wymyśliła inną odpowiedź.

– Nie chcesz, żeby cię dotykała goła ciężarna.

– Nie jesteś kompletnie goła.

– Prawie jestem. Poza tym jestem taka...

– Piękna – szepnął, a ona zmieszana podniosła na niego wzrok. – Cięża jest piękna. Maggie, ja już to widziałem. Pamiętaj, że jestem lekarzem.

O nie. Nie tędy droga. Odsunęła się i otarła oczy.

– Nie jesteś moim lekarzem – odparła zdecydowanym tonem.

– Potrzebowałam kogoś. Płakałam.

– Ale nie potrzebowałam lekarza – wykrztusiła. – Tylko kogoś, kto by wiedział, co czuję. Też miałaś ochotę płakać?

Nie odpowiadał. Z całych sił starał się zachować profesjonalny dystans. Ale ona nie życzyła sobie profesjonalnego dystansu.

Dlaczego pozwoliła sobie na łyzy? Beksy. Wystarczy. Wyszła z kabiny i sięgnęła po ręcznik. Był duży, ale i tak za mały. Piękna? Ha! Owinąwszy się, jak się dało zbyt małym ręcznikiem, przeszła do sypialni.

Max nadal milczał.

Zakochałaś się, pomyślała, energicznie się wycierając. W osobniku, który widzi w tobie pacjentkę. Ubierz się i skończ z tym. Jak najprędzej.

Co się stało?

Maggie była umazana krwią i zestresowana, musiała się rozebrać. To chyba naturalne, że jej pomógł. Zachował się jak lekarz wobec zestresowanej pacjentki w zaawansowanej ciąży. Powinien utrzymać należyty dystans.

Ale wcale tak się nie czuł. Zapytała go, czy miał ochotę płakać. Hm, z tym, co czuł, płacz nie miał nic wspólnego....

Ale to, co czuł, wykraczało poza zdrowy rozsądek. Patrzeć na kobietę w dziewiątym miesiącu ciąży i marzyć o tym, żeby... Wyjątkowo nie na miejscu. Na dodatek przemieszane ze wspomnieniami o Alice.

Czy pożałoby jej tak samo, gdyby nie była w ciąży?

Do czasu rozwiązania Maggie musi zniknąć ze sceny, dopóki nie sprawdzi, jak bardzo jej pragnie.

Podejrzewał, że bardzo. Więc się nie spiesz, upomniał się w duchu. Rozstań się z nią, dopóki nie będziesz miał pełnego obrazu, wyeliminuj emocje związane z ciążą.

Na razie Maggie cię nie potrzebuje. Ale zależało mu na tym, żeby go potrzebowała.

W mieszkaniu nie świeciła ani jedna żarówka. Od dwóch tygodni Sydney gnębiły przerwy w dostawie energii, podobno były problemy z całą siecią energetyczną. Gdyby nie on, Maggie byłaby tu sama. Może przezornie zaopatrzyła się w świece?

Na pewno. Zdjął mokre spodnie i owinał się ręcznikiem. Chętnie widziałby siebie w roli rycerza na białym rumaku, ale ona tego nie chce. A jeśli to, że teraz ją chroni, zaowocuje komplikacjami w przyszłości?

Kiedy? Później będzie miała dziecko, farmę i przyjaciół. A on nadal będzie jej niepotrzebny.

Gdy wyszedł z łazienki, stała w drzwiach, rozmawiając z portierem. Nie wyglądała na kogoś, kto potrzebuje pomocy.

– Super. To wystarczy, żeby dojechał do domu.

Odwróciwszy się, stanęła w promieniach zachodzącego słońca, a on wstrzymał oddech, porażony jej urodą. Była boso, w ciążyowej tunice i dzinsach. Obserwując ją, w pewnej chwili poczuł, że musi porwać ją w ramiona.

Nie zrobił tego, bo zasłoniła się niczym tarczą dresowymi spodniami, sprawdzając ich długość. W ostatniej chwili zwyciężył rozsądek.

– Zorganizowałam ci ubranie. – Jej rzeczowy ton brutalnie ściągnął go na ziemię.

– Słucham?

– Don, portier, pożyczył ci swoje rzeczy. Masz je jutro oddać. Uprane.

– Hm... Dzięki. – Zaradna? Oczywiście. Kobieta bluszcz? Skądże.

– Chyba nie pojedziesz do domu w ręczniku. Nie sądzisz, że obojgu nam przyda się odzyskać odrobinę godności?

– Tak, masz rację.

Czekała, aż zniknie w łazience. Miał włożyć ubranie innego mężczyzny i odjechać.

Co jeszcze można zrobić w takiej sytuacji? Objąć ją i całować do nieprzytomności? Rzucić się w tę przepaść?

Był tak blisko... Ale gdy się odwracała, zobaczył, jak z grymasem na twarzy przykłada rękę do krzyża. Ból pleców w zaawansowanej ciąży to nic niezwykłego, ale ten niewielki gest przywołał wspomnienie rozpacz po śmierci Alice. Maggie jest piękna, dzielna, inteligentna, a zarazem wystawiona na ciosy. Jak by się czuł, gdyby się na nią otworzył, pokochał ją całym sercem, a potem...

Nie. Odwróciła się. To jedyne rozsądne rozwiązanie.

Ubrany w dres Dona, miał wrażenie, że już odzyskał jasność myślenia, ale w dalszym ciągu nie chciał się z nią rozstawać. Słońce zniknęło za chmurami i w mieszkaniu zrobiło się ponuro.

– Masz świece? – zapytał, a ona spojrzała na niego z wyrzutem.

– Oczywiście. Mam tyle świec, że można by oświetlić pół dzielnicy. Wczoraj też przez jakiś czas nie było prądu. Podobnie dzień wcześniej. U ciebie też zgasło światło?

– Nie. – A może zgasło. Szpital ma własne generatory, a jak o północy jechał do domu, światło już było.

Praca. To dobre rozwiązanie, pomyślał. Wracaj do roboty i zapanuj nad emocjami. Mimo to nie wyobrażał sobie, że mógłby ją zostawić.

Może jednak jest na to sposób.

– Muszę wracać do szpitala – powiedział – ale też chcę zajrzeć do Judith i Grace, bo karetka zabrała je do mojego szpitala. Pojedziesz ze mną? Potem wsadzę cię do taksówki.

– Dzięki. – Sięgnęła po torebkę.

– Tak?

– Pomyślałam, że tak zrobię, zanim mi to zaproponowałeś. Wiem, że należy zachować dystans, ale masz przed sobą kobietę, której dystans jest obcy i która musiała wypłakać się na twoim męskim ramieniu. Wiesz co? Płakałabym nawet, jakby nie było męskie, więc za dużo sobie nie myśl. Tak, chcę zobaczyć, co się z nimi dzieje.

– Powinnaś odpocząć. – Trochę za późno o tym pomyślał.

– Nie przeczę – zgodziła się. – Ale nie spocznę, dopóki się nie dowiem.

– Maggie...

– Nie będę płakać – obiecała. – Nie będzie żadnego męskiego ramienia, tylko dwoje lekarzy u dwóch pacjentek. Chodźmy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

I tak po raz kolejny miała okazję przejechać się jego superautem, ale wbrew pozorom nie czuła się ani seksowna, ani odważna, a raczej kompletnie zagubiona. Zdezorientowana swoimi emocjami w ciągu minionych dwóch godzin. Czuła się... zawiedziona.

Bo chciała, żeby było inaczej?

Max wiezie ją teraz do szpitala, by sprawdzić, co dzieje się z pacjentkami, które razem ratowali. Tylko tyle, ale ciepły wiatr targa jej włosy, a ona wpatruje się w silne dłonie Maxa na kierownicy i czuje się, jakby znowu była z kimś parą. Czuje, że komuś na niej zależy, jak kobieta u boku kochanego mężczyzny.

Słodkie doznanie... i złudne.

Max zachował się kompetentnie i stosownie. Nic poza tym. Mimo to przyjemnie jest mieć złudzenia. Prawda to czy nie, będzie się tym upajać, bo jeśli tylko tyle jest jej dane, to trzeba cieszyć się tą chwilą.

Niestety przejażdżka nie trwała długo. Pod szpitalem okazało się, że Max ma imienne miejsce parkingowe. No proszę! Gdy przyszło wysiadać, iluzja więzi prysła.

Maggie ociągała się z wysiadaniem na tyle długo, że Max zdążył przejść na jej stronę. Otworzył drzwi i przyjrzał się jej uważnie, po czym wyciągnął obie ręce, by jej pomóc.

– Dobrze się czujesz? – Nie krył niepokoju. – Maggie, to za dużo na jeden dzień. Odwieźć cię do domu?

– Nic mi nie dolega. Po prostu ten samochód jest za niski. – Spojrzała na jego ręce i pomyślała, że powinna odmówić, bo kontakt fizyczny z tym facetem wytrąca ją z równowagi. Ale nie, skorzysta z każdej okazji, by go

dotknąć. Zaakceptowała jego pomoc, a on ją podciągnął. Zrobili to za szybko. Wpadła na niego. Nie, wcale nie wpadła, bo przeszkodził jej brzuch.

Musi się opanować. Max stał przed jej brzuchem i czekał, aż ona złapie równowagę.

Odetchnęła głęboko i cofnęła rękę.

– Irokez! – powiedziała nagle.

Tego jej było trzeba, żeby odwrócić jej uwagę od Maxa. Żeby nie widział jej pragnień. Irokez stał na drugim końcu parkingu w towarzystwie mężczyzny w kombinezonie ubrudzonym farbą i kobiety w fartuchu, kasjerki z pobliskiego supermarketu. Zamierzali wsiąść do wysłużonego combi.

– Irokeeez! – wrzasnęła, a gdy nie zareagował, włożyła dwa palce do ust i zagwizdała.

Max nie widział Irokeza i nie był na to przygotowany. Mimo że stał pół metra od niej, mało mu nie popękały bębenki w uszach. Tak gwizdże farmer, żeby przywołać psa z sąsiedniego okręgu.

– To Irokez! – ucieszyła się Maggie, ruszając w drugi koniec parkingu.

Speszony podążył za nią.

– Gdzie nauczyłaś się tak gwizdać?

– Betty – rzuciła przez ramię. – Niezła scheda, co?

Ściągnęła na siebie uwagę Irokeza. Jakżeby inaczej?

Chłopak i zapewne jego rodzice znieruchomieli przy samochodzie.

Jej gwizd sprawił, że cały parking zastygł w bezruchu, ale jej uwaga skupiła się wyłącznie na Irokezie.

Chłopak był blady i przygaszony, miał na sobie nijakie ubranie, wydawane przez szpital ofiarom wypadków. Jego fryzura opadła, a on sam wydawał się... mniejszy?

Oto chłopak, który nieoczekiwanie znalazł się w dramatycznej sytuacji, pomyślał Max, ale zachował się odważnie i honorowo. Odcisnęło to piętno na jego twarzy.

Jak to, że Maggie płakała na jego piersi. Życiowe tragedie dotknęły ich równie głęboko.

– Irokez... – Maggie porwała go w ramiona, nim się zorientował, co go czeka.

– Mam na imię Colin – prychnął urażony. Maggie z uśmiechem zwróciła się do Maxa.

– Oto Colin – powiedziała z uznaniem. – Nasz bohater ma na imię Colin.

– Bohater? – zdziwiła się kobieta.

– Bohater. To pani syn?

– T...tak. A to jego ojciec.

– Bardzo się cieszę, że mogę was poznać – mówiła Maggie. – Ratowaliśmy ludzi z wypadku. Z pomocą waszego wspaniałego syna.

– Zostaliśmy wezwani do szpitala – wyjaśnił mężczyzna, spoglądając na syna, jakby zobaczył go po raz pierwszy. – Powiedziano nam, że syn był w wypadku.

– Przeraziliśmy się – wyznała kobieta. – Dopiero później się dowiedzieliśmy, że nie jest poszkodowany. Że widział ten wypadek i zemdlął.

Należy to sprostować, postanowił Max, ale Maggie już zjeżyła się jak lwica broniąca małych. Zawzięta, lojalna i bezpośrednia. Obserwując ją, pomyślał, że ma przed sobą kobietę, która raz oddawszy komuś serce, oddaje je na zawsze. Irokez zasłużył na jej lojalność.

Czy on znalazłby w sobie odwagę, by prosić ją o to samo dla siebie?

– Tyle powiedział wam Colin? – zapytała poruszona.

– Że zobaczył wypadek i zemdlął?

– A co jeszcze się stało? – zaniepokoił się ojciec.

– Powiedział, że uratował życie kobiecie?

Rodzice popatrzyli po sobie.

– Powiedział, że widział wypadek. I że musiał oddać lekarzowi swoją koszulkę, a ratownik powiedział, że zemdlął.

– Jak już było po wszystkim – podkreśliła Maggie.

– Max, powiedz im. To jest doktor Ashton. Doktorze, niech pan im powie, jaki Colin był dzielny.

Więc opowiedział, a ich podziw rósł z każdą chwilą. Irokez, czerwony jak burak, nie wiedział, gdzie się schować, ale nie miał wyboru. Maggie ponownie go wyściskała, a za jej plecami w kolejce ustawiła się matka chłopca.

Nagle Max zapragnął znaleźć się pośród tych uścisków. Głupie uczucie, ale nie potrafił go wyprzeć, bo ze zdwojoną siłą dała o sobie znać tęsknota, którą tłumił przez wiele lat. Otchłań więzi emocjonalnej nagle przestała mu się jawić jako otchłań, ale jako coś wspaniałego. Coś, co gdyby się odważył, i jemu mogłoby przypaść w udziale.

Gdyby się odważył.

– Możecie być z niego dumni – oświadczyła Maggie, gdy świat Maxa stawał na głowie.

– Doktor powiedział, że one będą żyły – wyjąkał Colin ponad ramieniem ściskającej go matki. – Nie mogę uwierzyć, że zemdlałem. Ale plama...

– Zemdlałeś dopiero po wszystkim – pocieszał go Max. Objął Maggie, by w końcu też być obejmowanym. Bardzo przyjemnie. Nie, cudownie. Ale należy dalej rozmawiać z Irokezem i jego rodzicami. – Colin, ja zemdlałem po raz pierwszy na studiach, podczas cesarskiego cięcia. Młoda matka była przytomna i to ona powiedziała pielęgniarce, że ja chyba zemdleję. Nawet ją

poprosiła, żeby się mną zajęła. Chłopie, spisałeś się lepiej niż niejeden student medycyny. Robiłeś, co do ciebie należało, i trzymałeś emocje na wodzy do samego końca. To wymaga odwagi.

– Naprawdę tak się zachowałeś? – dziwił się ojciec.

– Jedyne z całego zbiegowiska miał odwagę nam pomóc – dodała Maggie, a Max poczuł, że chciałaby znowu chłopaka uściskać.

Wyświadczył Irokezowi wielką przysługę, trzymając ją, ale trzymał ją nie dlatego. Trzymał ją dla siebie.

– Maggie i ja mamy przygotowanie medyczne. –Przytulił ją mocniej dla podkreślenia tego „Maggie i ja”. – A Colin został wrzucony na głęboką wodę i świetnie sobie poradził.

– No, no – mruknął ojciec, wyraźnie wzruszony.

– To nic takiego – burknął Irokez.

– To bardzo, bardzo dużo – poprawił go Max.

Potem odciągnął Maggie i poprowadził ją w stronę swojego auta. Chętnie wciągnąłby ją w coś więcej, ale było za dużo świadków tego, co chciał jej powiedzieć.

To musi poczekać, bo Maggie pragnie odwiedzić Judith i Grace. Pociągnęła nosem.

– Maggie? – Zajrzał jej w oczy.

– Ja nie płaczę. Ja nigdy nie płaczę.

– Tak, wiem. To dlaczego teraz nie płaczesz?

– Pomyślałam... – Energicznie otarła łzy. – Obserwowałam ich twarze, jego rodziców.

– Byli z niego dumni.

– Tego bym chciała. – Oplotła brzuch ramionami. – W zeszłym roku poszłam do kina. Życie było szare. Pracowałam i żyłam tylko dla siebie.

William powiedział, że w każdej chwili mogę mieć jego dziecko, ale nie mogłam. Jak mam sama hodować dziecko? I wtedy poszłam na ten film. Jak wychodziliśmy z kina, wpadła mi w oko matka z synem. Film był głupi, jakiś romans, a ona ewidentnie zaciągnęła tego chłopaka na siłę. Strasznie pyskował, a ona mu wmawiała, że film bardzo mu się podobał, tak jak i jej. W końcu zagroziła, że jak on nie powie czegoś dobrego o tym filmie, to ona przez tydzień będzie mu robiła kanapki z brokułami. Znowu wzniósł wzrok do nieba, ale w końcu się uśmiechnął, po czym się rozejrzał, czy nikt tego nie widzi. I wtedy pomyślałam, że tego właśnie chcę.

– Małolata? – jęknął.

– Takiego jak Irokez. Same sprzeczności i kolce, a pod spodem wielkie serce. – Poklepała się z dumą po brzuchu. – Nie pozwolę jej przekłuć uszu. Ale będzie awantura. Razem z Rachel, moją przyjaciółką, przekłułyśmy sobie uszy za pomocą igły i kostek lodu, jak miałyśmy trzynaście lat.

– Niemożliwe!

– Moja mama nawet nie zauważyła. – W jej głosie zabrzmiała nuta smutku. – Nie oczekiwałam tego. Nie od moich rodziców. Ale mama Rachel zauważyła. Tak nas wysmarowała jodyną, że przez tydzień byłyśmy żółte.

Potem zawlokła nas do ich lekarza rodzinnego. Przez cały czas na siebie wrzeszczały, a ja się tym upajałam. Bardzo chciałam, żeby ktoś na mnie wrzeszczał.

– Nie możesz się doczekać, kiedy będziesz mogła wrzeszczeć?

– O tak. – Pociągnęła nosem. – Będę najbardziej wrzeszczącą matką pod słońcem.

– Maggie...

Ale ona nie myślała o nim.

– Chodźmy. – Nagle wydała mu się radosna. – Chodźmy poszukać Judith i Grace. Dowiedzmy się, czy Irokez powiedział prawdę. Jestem w nastroju na happy end.

On również. Musi jeszcze trochę pomyśleć, ale też miałby ochotę na takie zakończenie.

To, co przekazał im Irokez, okazało się zgodne z prawdą. Judith była w sali operacyjnej, gdzie zszywano jej ramię. Dostała krew i nic jej nie zagrażało.

– Złożone złamanie Grace wymaga sporo pracy. Konieczny będzie też przeszczep skóry na brzuchu, ale sądzę, że jesteśmy na dobrej drodze – poinformowała ich Sue–Ellen, po czym nie mogąc pohamować ciekawości, szeroko się uśmiechnęła. – To ty jesteś tą damą, z którą Max się zderzył w weekend. Dochodzą do nas różne wieści. – Kiwnęła głową w stronę brzucha Maggie. – Szybka robota, Max.

– Sue!

– Żartowałam. – Podała Maggie rękę. – Miło cię poznać. Domyślałam się, że nie przychodzisz tu w roli lekarza. Na porodówkę to tamtędy.

– Jeszcze nie czas.

Sue–Ellen z niedowierzaniem przyglądała się jej brzuchowi.

– Naprawdę? Miałam tu wiele pań mniejszych od ciebie, które kilka godzin później wychodziły z maleństwem.

– Ale nie ja – odparła Maggie z przekonaniem. – Jeszcze nie teraz. Nie zamierzam tu zostać. Przyszłam tylko dowiedzieć się, co z Judith i Grace.

– Chyba mają się lepiej niż mąż Judith. – Sue–Ellen skinęła w stronę oszklonych drzwi, za którymi siedział młody mężczyzna z dzieckiem na rękach. Thomas? Mężczyzna był blady jak ściana. – Jak tu wszedł, wyglądał jeszcze gorzej. Myślę, że odkąd tu siedzi, postarzał się o dziesięć lat.

– To jedna z ponurych stron kochania – zauważył Max, za co Maggie skarciła go wzrokiem.

– Nie – powiedziała cicho. – Nie wolno tak myśleć.

– A jak mam przestać?

– Człowiek z takim nastawieniem nie nadaje się na lekarza oddziału ratunkowego – stwierdziła Sue–Ellen. – Czasami się zastanawiam, dlaczego jak wracam po nocach do domu, to Bill i dzieci ciągle tam są. Trzeba mieć wiarę. – Popatrzyła na brzuch Maggie. – Tak jak ty. Powodzenia. Aha, Max, Anton cię poszukuje. Wyłączyłeś telefon? Na górze mają kryzys. – Pożegnawszy się, pospieszyła do swoich pacjentów.

Anton go poszukuje? Musi iść, ale co zrobić z Maggie?

Do poczekalni za szybą weszła Mary oraz jeszcze dwie osoby. Dziadkowie Grace i Thomasa? Jeszcze chwila i młody ojciec znalazł się w objęciach bliskich. Maggie obserwowała tę scenę z nieskrywaną zazdrością.

– Muszę wracać.

Domyślił się, że Maggie stara się nie okazać, że poczuła się osamotniona. Nie chciał, by sama wracała do hotelu. Dlaczego tak zorganizował swój zespół, że stał się niezastąpiony? To głupota...

– Jak poczekaasz, aż sprawdzę, co dzieje się na oddziale, to może będę mógł cię odwieźć. – Wątpił jednak, czy to będzie wykonalne.

– Pojadę taksówką. – Nie odrywała wzroku od rodziny za szybą. – Żałuję, że już nic więcej nie mogę zrobić.

– Zrobiłaś wystarczająco dużo. – Prawdę mówiąc, on też obserwował bliskich Judith i Grace. Otarli się o tragedię...

Przechodził przez to. Podobnie Maggie. Jako lekarz Maggie chyba wie, jak się chronić? Tylko jak to osiągnąć? Wydawało mu się, że mur, którym się otoczył, jest nie do skruszenia, ale teraz... Gdzie się podział ten mur?

– Pójdę jeszcze z nimi porozmawiać – powiedziała. – Ale... bardzo ci dziękuję, że mnie odwiedziłeś. To ładnie z twojej strony.

– Przyjadę do ciebie po pracy, żeby się upewnić, że niczego ci nie trzeba – mruknął.

– Padnę, jak tylko znajdę się w domu. Zapewniam cię, że wszystko będzie w porządku. Nie martw się.

– Maggie, czy będzie ktoś przy tobie, jak zaczniesz rodzić?

– Nikogo nie potrzebuję.

– Potrzebujesz...

– Nie. Już się nauczyłam żyć, nie licząc na czyjąś pomoc.

– Mógłbym...

– Nie mógłbyś, bo nie chcesz – ucięła. – Ustaliliśmy już, że to, co jest między nami, nie pozwala ci jasno myśleć.

– Ale powoli zaczynam nad tym panować. I coś mi podpowiada, że chcę ci pomóc. Maggie, jestem gotowy się zaangażować.

Zastanawiała się przez dłuższą chwilę, po czym pokręciła głową.

– Nie. Nie po tym, jak dzisiaj goła wypłakiwałam się na twojej piersi. – Zawahała się. – Okej, Max, coś ci powiem. Świata poza tobą nie widzę... Po takim wyznaniu powinieneś uciec, gdzie pieprz rośnie. Ale to pewnie hormony padły mi na mózg. Pierwszy raz jestem w ciąży i nie wiem, co hormony mogą zrobić z człowiekiem. I myślę, że ty też wolałbyś tego nie wiedzieć.

Zaszumiało mu w głowie. Odebrało głos. W tej chwili potrafił skupić się tylko na jednym. Na jej bezpieczeństwie.

– Maggie, nie chcę, żebyś wracała do hotelu. Poszukamy ci tu jakiegoś łóżka, a potem cię odwiozę.

– Chyba żartujesz – prychnęła. – Nie zostanę w szpitalu.

– Ale jak zaczniesz rodzić...

– To tu wrócę. Nie jestem głupia.

– Posłuchaj... – Nagle stracił wątek. Przestał być pewny czegokolwiek.

Wiedział tylko, że ta kobieta odmieniła jego życie i że w tej chwili rozstanie jest niemożliwe. – Maggie, nie wiem, co czuję, ale... nie pozwolę ci samej wracać do domu.

– Męczennik mimo woli.

– Słucham?

Nagle ogarnęła ją złość.

– A jak ja się czuję w tym układzie?! – wybuchnęła.

– Mam wrażenie, że pomimo twojego rozpaczliwego oporu na siłę wciągnęłam cię do swojego życia! Spadaj!

– Maggie...

– Wyznałam, co do ciebie czuję – warknęła. – Zdajesz sobie sprawę, ile mnie to kosztowało? Po takich wyznaniach można powiedzieć tylko jedno: żegnaj.

– Wcale nie chcę...

– Ja też nie – przyznała, w dalszym ciągu kipiąc ze złości. – Ale nie mamy wyboru. Może lepiej będzie, jak się nad tym zastanowimy, jak już urodzę. Na pewno nie teraz.

– Wymagasz opieki.

– Przestań, bo mogę przyznać ci rację, a to byłoby przerażające, prawda?

– Wcale mnie to nie przeraża.

– Co? Że się na tobie uwieszę?

– Maggie...

– Przestań. Daj sobie spokój i wracaj do swojego dawnego życia.

– Chcesz, żebym tak zrobił?

– Jasne, że nie chcę, ale to jedyne rozsądne wyjście.

– Chcesz być rozsądna?

– Nie! – Powiedziała to tak głośno, że w ich stronę odwróciły się głowy wszystkich pacjentów i pielęgniarek. Rozejrzała się, wzruszyła ramionami, po czym w jej oczach niespodziewanie rozbłysły figlarne iskierki. – Oczywiście, że nie chcę być rozsądna, ale muszę jechać do domu. Jak chcesz pójść tym tropem... to ostrzegam cię, że nie będziesz miał łatwo, jeśli pozwolisz mi cię potrzebować. Zaraz zachowam się nierozsądnie.

Nim się zorientował, do czego Maggie zmierza, zarzuciła mu rękę na szyję i zaczęła go całować.

Pocałunek był tak zachłanny i namiętny, że Max stracił poczucie rzeczywistości, zapominając o rozsądku. A wydawało mu się, że zawsze potrafi nad sobą zapanować.

Obejmował ją coraz mocniej, czując, że spada... spada...

Jego uszu doszedł gromki aplauz. Instynktownie czuł, że powinien odsunąć się od Maggie, ale to było niemożliwe, więc wpił się w jej wargi z jeszcze większym żarem.

Oklaski i śmiech przybierały na sile. Jednak w pewnej chwili przycichły, a on poczuł na ramieniu czyjaś dłoń oraz śmiech tuż przy swoim uchu. Niechętnie odsunął Maggie na odległość ramienia. Gdy tak stała oszołomiona swoją zuchwałością, ponownie rozszalała się burza oklasków.

Facet, który trzymał rękę na ramieniu Maxa, okazał się salowym z pacjentem na wózku. Chciał przejść. Pacjent też się śmiał. Salowy rozdzielił ich zdecydowanym gestem.

– Kolego, sypialnie to piętro wyżej – powiedział z uśmiechem.

– Młodzi kochankowie – rzuciła leciwa pacjentka z jednej z kabin.

– Jak króliki! – zachichotał jakiś nastolatek, a Max poczuł, że pieką go uszy.

– Zawiadomiłam Antona, że tu jesteś – odezwała się nagle Sue–Ellen, do tej pory zajęta w jednej z kabin. – Jesteś mu natychmiast potrzebny.

Ku zaskoczeniu Maxa Maggie obdarzyła zebranych szerokim uśmiechem.

– Sue, bierz go sobie. Jest cały twój.

– Chyba go nie chcę – odparła Sue–Ellen rozbawionym tonem. – Mocno sfatygowany.

– Jak z drugiej ręki, to ja go wezmę – zaofiarowała się starsza pani. – Wygląda, jakby zostało w nim jeszcze trochę życia.

– No, Max, zmykaj! – upomniała go Sue–Ellen. – Maggie, jak nie zamierzasz rodzić, to też musisz nas opuścić. Zaraz rozpęta się tu piekło.

– Wypadek? – zapytał Max, odzyskując zimną krew.

Sue–Ellen spoważniała.

– Na to się zanosi. Pół miasta nie ma prądu. Wydawałoby się, że brak sygnalizacji świetlnej zmusi kierowców do ostrożności. Gdzie tam! Wypadek za wypadkiem. Na razie jest względny spokój, bo korki są takie, że karetki nie mogą do nas dojechać.

Rzeczywistość dopadała Maxa ze wszystkich stron.

– Max! – Na oddział wpadł Anton. – Gdzie ty się włóczysz?! Nie ma z tobą kontaktu. Nie możemy zatamować krwotoku! W trójce.

– Maggie, jeżeli są takie korki...

– Przyjechaliśmy tu bez problemu – zauważyła trzeźwo. – Nawet jak są korki, to usiądę w jakiejś kafejce i poczekam, aż włączą prąd.

– Nie chcę...

– Wykluczone. Musisz wracać do pracy. Nie będę ci przeszkadzać.

– Max, nie ma ani chwili do stracenia – ostrzegł go Anton.

– Żegnaj, Max. – Uśmiechnęła się, po czym wyszła.

– Max! – niecierpliwił się Anton.

– Już idę.

– Mam poszukać kogoś innego? – Anton nie spuszczał wzroku z jego twarzy.

– Nie, nie. Nic jej się nie stanie. Jeszcze nie pora.

– Do rozwiązania czy do chwili, kiedy rzucisz się za nią?

Nie musiał odpowiadać. Wiedział, czego Maggie pragnie, bo mówiło mu to jej ciało, a on chciał tego samego. Kiedy będzie mógł do niej pojechać?

Nie było żadnej taksówki, więc wsiadła do autobusu, ale, jak ostrzegła Sue–Ellen, miasto było kompletnie zatkane.

Zapadał zmrok, ale o dziwo ludzie nagle stali się bardziej przychylni. Czekając cierpliwie w autobusie, wspólnie się zastanawiali, czy supermarkety będą otwarte, by sprzedawać świece, gdzie dostaną mleko z odległym terminem przydatności, lód czy coś na kolację, co nie wymaga gotowania.

Może było to zabawne, ale Maggie była wycieńczona i zaczął jej dokuczać ból krzyża. Pół mili od hotelu autobus utknął na dobre. Wcale nie miała ochoty iść dalej piechotą, ale nie miała wyboru.

Ze zmęczenia ledwie trzymała się na nogach, a na nieoświetlonym chodniku ludzie wpadali na siebie, przepaszali się, śmiali, ale jej z każdym krokiem było coraz mniej do śmiechu. Och, ten ból!

To zmęczenie, wmawiała sobie. Pochylała się nad dwoma poszkodowanymi, nie myśląc o sobie, a wcześniej pływała. Sforsowała się. I... i pożałała Maxa.

Może już nigdy go nie zobaczy.

Zasłużyła na taką karę, bo całowała go jak... jak bezwstydnica. Jak bezwstydnica?

Wcale nie czuła się jak bezwstydnica. Czuła się samotna, niezgrabna i wielka. I zaczynała się bać.

Ostry przeszywający ból w krzyżu. Nie, to nie to, błagam. Musi myśleć trzeźwo. Jeżeli to poród... Nie, to niemożliwe. Wykluczone, na piechotę nie wróci do szpitala. Będzie dobrze.

Ale plecy bolały ją coraz bardziej. Zwolniła. Co robić? Co doradziłyby pacjentce?

Wezwij karetkę.

Dobra rada.

Poczuła się lepiej. Przystanęła, żeby wyjąć z torby komórkę, ale jej nie znalazła.

Cholera, komórka się ładuje na stoliku nocnym!

Nie wolno wpadać w panikę. Nie ma komórki przy sobie, ale może zadzwonić z domu.

Do Maxa? Lepiej nie. Jeśli karetka nie dojedzie, to i Max do niej nie dotrze.

Szła wytrwale. Jeszcze dwie minuty. Wejdzie do mieszkania, zrobi sobie herbatę, zadzwoni po karetkę i będzie czekać.

Nie ma prądu, to i herbaty nie będzie.

Znowu się rozplakała. Jaka z niej rozpustnica, zwyczajna beksa!

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Myślami nieustannie wracał do Maggie. Między zabiegami dzwonił do niej o dziesiątej, a potem o północy, ale nie odbierała. Pożalił się Antonowi, gdy operowali ostatni przypadek tej nocy.

– W małych hotelach portiernia w nocy nie dyżuruje – wyjaśnił Anton. – Zadzwoń rano.

– Powinien być jakiś numer awaryjny.

– Każdy budynek ma inny. – Anton nie tracił cierpliwości. – Maggie zadzwoni, jak będziesz jej potrzebny.

– Ale to ja muszę do niej zadzwonić.

– Nie masz numeru jej komórki?

– Nie! – powiedział to tak głośno, że pielęgniarki wymieniły porozumiewawcze spojrzenia. Uwaga, pan doktor jest zdenerwowany.

Z komunikatów radiowych było wiadomo, że miasto jest zakorkowane, więc Max nie miał szansy do niej dojechać. Zrozpaczony po ostatnim zabiegu zadzwonił do Johna i Margaret. Wyrwał ich ze snu. I przestraszył.

Dowiedział się tyle, że w nocy nikt w jej hotelu nie dyżuruje oraz że nie znają numeru jej komórki, bo pacjenci z rejonu Yandilagong zwyczajowo dzwonią na jej telefon stacjonarny.

Wyszedł ze szpitala i powoli szedł do domu. Dzięki szpitalnym generatorom wszystko wyglądało normalnie. Zrobiło mu się głupio.

Mimo to jego niepokój o Maggie się nasilał.

Nie tak miało być. Mieli być razem, pomyślał. Kobieta, mężczyzna i dziecko.

Nie ma tu Maggie i dziecka, więc co on tu robi?

Zatrzymał się, spoglądając w kierunku Coogee. Trzy mile to rzut beretem. Jak długo będzie tam szedł?

Jak długo, jeśli pobiegnie?

Jak leży, to mniej boli. Leżała nieruchomo. Ból nadchodził falami. Wszędzie ciemno. Wcale nie boi się ciemności. A jednak się boi.

Okej, opanuj się. To są prawdziwe skurcze. I chyba za każdym razem silniejsze.

Jeszcze raz zadzwoniła po karetkę.

– Są straszne korki – mówiła dyspozytorka głosem pełnym współczucia.

– Robię, co mogę, żeby wysłać do pani karetkę. Nie ma nikogo, kto mógłby panią zawieźć do najbliższego punktu medycznego? Może sąsiadka...?

– Dobrze, pójdę do sąsiadki.

Zwlokła się z kanapy i wyjrzała na pogrążony w ciemnościach korytarz. Próbowwała przypomnieć sobie twarz któregośkolwiek z sąsiadów, drzwi, do których mogłaby zapukać. Głupio się zachowuje.

To jej pierwsze dziecko, więc do porodu jeszcze daleko. Może nawet cała doba.

Nie, stwierdziła przy następnym skurczu. Na pewno nie doba. Miejmy nadzieję, że kilka godzin. Głupio budzić ludzi, których się nie zna.

Wróciła do salonu i znowu się położyła. Kurczę, przecież nie będzie tu leżeć po ciemku i się bać! Max.

– Nie myśl o Maksie – powiedziała na głos. – Max nie ma szansy dotrzeć tu szybciej niż karetka. Myśl o dziecku. Chcesz ją powitać spocona i po ciemku?

– Nie.

– Więc coś zrób.

Odetchnęła głębiej, żeby się uspokoić.

– Nie ma czego się bać. – Trudno jej było w to uwierzyć. – Zanosi się na urodziny, więc...

Chociaż zapal świeczki.

– Dobra, to chyba mogę zrobić. – Skuliła się z bólu. – Może. Jeżeli zdążę...

Trzy mile to jeszcze nie maraton, ale to nie był maraton, lecz sprint. Max miał kondycję, o którą dbał w szpitalnej siłowni, ale nie biegał. Tym bardziej po ciemku.

Maggie, Maggie, Maggie...

Jak mógł tak nieodpowiedzialnie pozwolić, żeby sama pojechała do domu? Założył, że niedługo włączą prąd, jak dzień i dwa wcześniej.

Nigdy nie przyszło mu do głowy, że może stracić Maggie. Nie należy do niego, więc nie może jej stracić, podsunął mu zdrowy rozsądek, ale ten kurczył się z minuty na minutę, a na jego miejsce wkradały się emocje.

Maggie należy do niego. Tak podpowiadało mu serce. Maggie rodzi jego dziecko?

Jego dziecko? To irracjonalne? Znał prawdę i biegł tym szybciej.

W hotelowym pokoju w Coogee...

– Nie chcę urodzić w ciemnościach. Nie chcę, żeby moje dziecko się bało. Nie chcę, żeby moje dziecko leżało na hotelowej kanapie!

Sylwetka budynku jej hotelu wyraźnie odcinała się od nocnego nieba. Na jednym z tarasów nad jego głową migotało blade światło, ale wszystkie okna były czarne.

Nie zapaliła świec?

Jasne, że nie. Bo śpi. Nie będzie zachwycona, jak ją obudzi. I niepotrzebnie przestraszy.

To kazało mu zwolnić. Złapał oddech, po czym wszedł do holu. Ma wejść na piętro i zapukać?

Tak, tak sobie zaplanował. Jest trzecia rano. Maggie, obudź się, jestem!

Oddychaj. Oddychaj. Oddychaj. W żadnym podręczniku nie ostrzegano, że to boli aż tak bardzo. Oddychaj. Możesz.

– Nie wytrzymam...

Zapukał tak energicznie, że drzwi uchyliły się same. Nie zamknęła drzwi? Na zamek?

W korytarzu panowały egipskie ciemności. Podobnie . w mieszkaniu. Sensownie byłoby mieć latarkę.

Ale on nie zachowywał się sensownie.

– Maggie...? Cisza.

– Maggie...!

Gdy jego wzrok oswoił się z ciemnością głębszą niż na dworze w świetle księżyca, dostrzegł zarys ławy w kuchni, lampy w holu, kanapy w salonie.

– Maggie...

Poruszał się po omacku, niepewny, czy wszedł do właściwego mieszkania.

– Jestem lekarzem! – zawołał na wypadek, gdyby obudzony nieznajomy lokator miał dostać zawału. – Szukam Maggie, kobiety w ciąży, która potrzebuje pomocy.

Brzmi to idiotycznie, pomyślał, sunąc w stronę salonu.

Przez odsunięte zasłony do środka wpadało światło księżyca, ale na zewnątrz dostrzegł drugie źródło światła, które zasłaniał mu róg kanapy. Szedł powoli, po drodze potykając się o stół do kawy, w stronę światła.

– Maggie? – Rozsunął szklane drzwi. – Maggie?

– Masz gaz? – To pytanie dobiegło z poziomu podłogi. – Jak nie masz, to lepiej mnie zabij.

Zaaranżowała izbę porodową. Leżała na poduszkach ułożonych na podłodze tarasu tak, żeby mieć widok na morze. Wszędzie stały świece. Leżała w morzu światła.

Poza szumem fal na dole otaczała ją cisza. Wszystko to zarejestrował w ułamku sekundy.

– Uuuuuuuuh...

Ledwie dosłyszał ten jęk. Przyjął setki porodów, ale tak cichy jeszcze mu się nie trafił.

Pospiesznie przestawiał świece, żeby do niej dotrzeć, by ją objąć. Ale nie, gazety nie będą się rozpisywały o położniku, który zginął w płomieniach.

On i położnik? Możliwe. Chyba jednak tak. Kiedy zorientował się w sytuacji, odezwał się w nim profesjonalista. Oprzytomniał. Przyklęknął, żeby ją objąć.

– Uuuuuuuuh...

Skurcz. Skurcz minął, ale on nie wypuszczał jej z ramion. Tak, jest lekarzem, ale przede wszystkim... facetem Maggie.

– Max... – wysapała. – Nie masz gazu?

– Nie wziąłem torby – tłumaczył się. – Biegłem.

– Biegłeś...

– Bez sensu. Jak można rodzić, kiedy elektrownia strajkuje? Nie przyszło ci do głowy zadzwonić po pomoc?

– Zadzwoniłam.

– Do mnie?

– Wezwałam karetkę. Nie jesteś położnikiem – wysapała.

– Jestem. Mogę cię zbadać?

– Uuuuuuuuh...

– To znaczy tak?

Nie chciał być jej lekarzem. Chciał ją przytulać. A do tego chciał mieć całą salę porodową. Oraz cały zespół położniczy.

– Wezwałam... karetkę – powtórzyła. – Dawno temu. Liczyłam, że tu dotrze. Prędzej niż ty.

– Gdybyś zadzwoniła, byłbym jeszcze wcześniej.

– Mam przepraszać, że nie zadzwoniłam? – jęknęła. – Nie masz gazu. Nigdy ci tego nie zapomnę. Uuuuuuuuh...

– Już nigdy nie wypuszczę cię z objęć. – Nie krył wzruszenia, ale powinien położyć ją na poduszki i zacząć działać jak lekarz.

– Chyba... chyba będę parła.

– Postaraj się nie przec, dopóki cię nie zbadam.

– To się pospiesz – jęknęła.

– Masz ochotę krzyczeć?

– Obudzę sąsiadów.

– Ktoś może mieć gaz – zauważył. – Nie przyszło ci to do głowy? Jak będziesz krzyczeć, to może ktoś przyjdzie ci z pomocą.

– Chcę tylko ciebie. Uuuuuuuuh...

Główka.

– Maggie, widzę jej główkę.

– Nic mnie to nie obchodzi...ii...

– Ale mnie obchodzi. – Przysunął bliżej świece, po czym zaczął przekładać poduszki tak, by Maggie mogła się oprzeć o ścianę, żeby widziała...

Jak jej dziecko przychodzi na świat. Na chwilę zapanowała cisza, ale kilka sekund później...

Krzyczała tak, że chyba pobudziła wszystkich od Coogee do Bondi. Ten fantastyczny krzyk towarzyszył ostatniemu triumfalnemu pchnięciu.

– Powoli... powoli – mówił.

Boże, jak dobrze, że w porę się tu znalazł.

Westchnęła, jęknęła i chwyciła się za kolana. Jeszcze jedno silne pchnięcie... i ujrzała, jak jej dziecko wyślizguje się prosto w ręce Maxa.

Nikt nie zapukał. Krzyk, który obudziłby umarłego, na nikim nie zrobił wrażenia.

W martwej ciszy Max oczyścił drogi oddechowe noworodka. Córeczka Maggie nie płakała. Spoglądała na Maxa ze zdziwieniem i niedowierzaniem. Taka śliska...

A on poczuł, że wraca do niego coś, czego od dawna mu brakowało. Czy jest coś piękniejszego od narodzin?

Przyjął dziecko Maggie... Czuł się najszcześniejszym mężczyzną na ziemi, a gdy kładł maleństwo na jej piersi, pojął, że w jego życiu zaszła dramatyczna zmiana.

Pojął, że od tej chwili właśnie tak ma być. Nie odzywał się, ale patrzył i uśmiechał się uszczęśliwiony.

W końcu Maggie przeniosła spojrzenie na niego.

– Max, dziękuję – powiedziała ze łzami w oczach.

– Cała przyjemność po mojej stronie. — Zawahał się. – Chyba cię kocham.

Świat na moment zatrzymał się w miejscu. Przez jakiś czas wpatrywała się w niego z nieskrywanym podziwem, po czym lekko się uśmiechnęła.

– Dopiero teraz... – wyszeptała. Świat ożył, na plaży poniżej ponownie szumiały fale. – O Max, ty mnie kochasz? Na pewno?

– Nigdy nie mówię niczego, czego nie byłbym pewien. Maggie, jak mógłbym cię nie kochać?

– Ale...

Ale? Lepiej nie zastanawiać się nad żadnym ale.

– Maggie, nie będę cię ponaglał. – Pogładził ją po policzku. – Ale... – Rzeczywistość zmusiła go do powrotu na ziemię, więc odezwał się w nim lekarz. To są najważniejsze chwile w jej życiu, ona doświadcza teraz najsilniejszych emocji, za wcześnie jest na obietnice.

– Nie będę cię ponaglał – powtórzył półgłosem. –Przysięgam, że to samo będę czuł jutro i zawsze, ale jeśli będzie ci trzeba miesięcy, żeby w to uwierzyć, będę cierpliwie czekał. Tak długo, jak to będzie konieczne.

Wpatrując się w maleńką dziewczynkę przy jej piersi, zastanawiał się, dlaczego Maggie wątpi w jego uczucie. Ale jeśli trzeba, da jej czas do namysłu.

– Och, Max, ja cię kocham. – Te słowa skruszyły resztki muru, którym do tej pory się otaczał. – Mój Max.

Jednak to „ale”, które wyrwało się jej odruchowo, nie dawało mu spokoju. Przypomniało mu, że to nie pora na deklaracje. Prawo wyraźnie określa, co może łączyć lekarza z pacjentem. Nie wolno mu grać na jej wdzięczności oraz innych emocjach. Musi się powstrzymać!

– Jak... jak dasz jej na imię?

– Rose.

– Takie imię wybraliście z Williamem?

– Nie zastanawialiśmy się nad imieniem. – Mówiła bardzo cicho. – Baliśmy się nawet myśleć o dziecku. Najpierw byłam za Chloe, ale teraz... Po prostu Rose. A na drugie Elizabeth na pamiątkę Betty. – Uśmiechnęła się niepewnie. – Podoba ci się?

– Bardzo ładnie.

– Połóż się obok mnie – powiedziała tonem dawnej Maggie, tej silnej i władczej, którą zdążył pokochać.

– Należałoby posprzątać.

– Później. Chcę, żebyś mnie pocałował.

Koniec z przepisami regulującymi stosunki między lekarzem i pacjentem. Kocha ją całym sercem.

Ale powinien zachować resztki rozsądku. Nie wolno mu zapomnieć o tym „ale”. Maggie chce się upewnić, że za tym, co on do niej czuje, nie kryje się tęsknota i poczucie straty. Ale w tej chwili...

– Max, przytulam teraz moje dziecko i czuję, że moje życie jest cudowne, wspaniałe... – Pieściła go uśmiechem. – Będzie jeszcze piękniejsze, jak mnie pocałujesz. Więc...

Maggie i Rose zasnęły w jego ramionach. Sam bał się zasnąć, by małej nie przygnieść, ale czuł jej ciepło i jej drobne ruchy. Życie jest piękne.

Tak, zawsze są jakieś komplikacje. On pracuje w dużym szpitalu klinicznym, ona wybrała żywot lekarza wiejskiego i farmera. Czy to da się pogodzić?

Czy Maggie opuści Yandilagong?

Było jeszcze ciemno, gdy się przebudziła. Mogła zamknąć oczy i znowu zasnąć, ale była zbyt szczęśliwa, by spać. Mimo to powiedziała „ale”.

Dlaczego? Odruchowo przypomniawszy mu o dzielących ich barierach. To niemożliwe, żebyś mnie kochał... Jednak w tej chwili była tak szczęśliwa, że nie mogła sobie przypomnieć, jakie to bariery.

Więc dlaczego jej się to wyrwało?

Pomimo jego zapewnień, to dużo zmieniło. Wyznała mu miłość, a on przeszedł do kwestii praktycznych. To słowo skierowało ich myśli ku codzienności.

Ale ona chce go kochać każdego dnia. Chce być z nim. Bo w jego ramionach, z małą Rose czuje się wybranką losu.

Nie obejdzie się bez problemów, pomyślała. Może stąd to „ale”? Przysięgła Betty, że będzie opiekować się Angusem i farmą oraz chorymi z Yandilagong. Czy wolno jej złamać tę przysięgę, żeby połączyć się z Maxem?

Zrobiłaby to, gdyby ją o to poprosił. Musi to zrobić. Znajdzie na to sposób.

Max ją kocha. To cudowne. Życie jest cudowne.

Uśmiechnęła się jak kot, który napił się śmietanki, i mocniej przytuliła do Maxa.

Jest kochana.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wczesnym rankiem karetka zawiozła Maggie i Rose do szpitala. Maggie wolałaby zostać w domu, ale nie było to możliwe. Max nie mógł im towarzyszyć. Nie mógł albo nie chciał. Nocne wyznania zbladły.

– Dzisiaj nie czas podejmować trudne decyzje – tłumaczył jej. – Kocham cię i pragnę, ale nie będę naciskać. Jak wyjdiesz ze szpitala, wrócisz na farmę. I wtedy się zastanowimy. Może za trzy miesiące...

– Będziesz mnie jeszcze chciał?

– Zawsze będę cię chciał. – Pocałował ją tak gorąco, że zniecierpliwieni ratownicy zaczęli spoglądać na zegarek. W końcu wysiadł z karetki. – Skarbie, nie zapominaj, że pracuję w tym samym szpitalu. Będę bardzo blisko. Maggie, to tylko trzy miesiące. Przeżyjemy.

– Jak jeszcze będziesz na mnie czekał – mruknęła niezadowolona, chociaż w głębi serca wiedziała, że Max ma rację. Nawet się uśmiechnęła. – Och, Max, jak ja cię kocham.

Trzy miesiące. Dlaczego mu się to wyrwało?

Dobrze, że się nie wygłupił i nie powiedział, że będzie trzymał się od niej z daleka. Tak, Maggie musi to sobie przemyśleć. Bo może za jej wyznaniem kryją się hormony. Należy jej się czas, aż uspokoi się burza hormonalna, a on musi się zastanowić nad pomysłem, który dopiero co zakiełkował mu w głowie.

Gdy kilka dni później mała Rose z żółtej zrobiła się znowu różowiutka, odwiózł je na farmę.

Maggie rozpromieniona jechała u jego boku. Cieszy się, że wraca do domu, pomyślał z pewnym niepokojem. Maggie wraca na farmę. Jak to będzie?

Angus z siodełka zabytkowego ciągnika obserwował ich przyjazd. Angus jest członkiem jej rodziny. Wszędzie komplikacje. Czy wolno mu oczekiwać, że Maggie porzuci Angusa? Nie. Zdecydowanie nie.

Jego genialny pomysł nabierał kolorów. Ale jeszcze wiele spraw należało rozwiązać. Wystarczą im trzy miesiące? Powoli, krok po kroku.

Maggie powitała Angusa szerokim uśmiechem, ale twarz staruszka ani drgnęła.

– Przydałyby mu się reflektory – zauważył Max, zatrzymując się przy ciągniku.

– He?

– Zajmę się tym – obiecał Max, po czym rzucił tonem od niechcenia: – Chcesz obejrzeć swoją krewną?

Stary farmer obrzucił ich spłoszonym spojrzeniem, ale powoli zsunął się z ciągnika, a Max odsunął dach samochodu, by pokazać mu Rose w nosidełku na tylnym siedzeniu.

Staruszek ostrożnie zbliżał się do auta.

Max i Maggie milczeli. Angus nieśmiało wsunął ramię do auta, po czym palcem dotknął rączki Rose. Małe paluszki zacisnęły się na jego palcu, a on mierzył ją wzrokiem pełnym niedowierzania.

Emocje, które zawładnęły Maxem, obejmowały Maggie, a nawet Angusa, farmę oraz ten wieczór, kiedy poznał Betty i ujrzał cielęta pod stogiem słomy.

Rodzina. Pomysł, który zrodził się w jego głowie tej nocy, kiedy Rose przyszła na świat, zaczynał się krystalizować. Z zadumy wyrwały ich radosne okrzyki dobiegające od strony domu. Sophie i Paula pędziły im naprzeciw. Angus się wycofał, ale tylko do ciągnika.

– Angus, ty ją zobaczyłeś pierwszy! To niesprawiedliwe! – krzyczała Sophie.

Po chwili wybiegli do nich John i Margaret. Maggie znalazła się w centrum zainteresowania.

Max mógł odejść. Ale Maggie go trzymała, a on miał ochotę zapakować je z powrotem do samochodu i wywieźć do Sydney. Nie powinien jej tu zostawiać, ale należy zrealizować plan. Gdyby mu się to udało w ciągu trzech miesięcy... Musi. Musi wrócić do Sydney i od razu wziąć się do roboty. Jednak został na kolację, a potem Maggie odprowadziła go do samochodu.

– Kocham cię – szepnęła, wtulając twarz w jej włosy.

– A ja ciebie. Ale, Max, trzy miesiące to bez sensu.

– Owszem, ale muszę pozalátwiać różne sprawy. Wytrzymasz?

– Jakie sprawy?

– Happy end. Chcesz tego?

– Wątpisz?

– Więc zdobądź się na cierpliwość. – Jeszcze raz ją pocałował, ale przerwało im rozpaczliwe kwilenie Rose dobiegające z wnętrza domu. – Ja muszę jechać do swoich spraw, a ty do swoich. Idź nakarmić córeczkę.

– Wrócisz?

– Wkrótce.

– To i tak za długo. – Posmutniała. – Max...

– Skarbie, nie spieszmy się. Zastanówmy się spokojnie, co dalej.

Wytrzymał w Sydney prawie cały tydzień. Potem w ramach akcji humanitarnej pojechał, by wręczyć Angusowi reflektory do ciągnika oraz logo do Newmana WD2 z 1939 roku. To był dobry pomysł, bo Angus prawie się uśmiechnął.

Wkrótce znalazł chirurga, który przejął część jego zabiegów, więc zaczął pracować w normalnych godzinach. Po jakimś czasie jego auto niemal samo jechało do Yandilagong, a on z każdą wizytą coraz bardziej utwierdzał się w

swoich uczuciach. Ale mimo że jego myśli skupiały się na konkretnym celu, czasami ogarniał go lęk, że trzy miesiące to może za krótko na sfinalizowanie jego planu.

Bał się zapytać Maggie, czy się zgodzi, ale codziennie dzwonił do niej po kilka razy, a zadowolenie w jej głosie podpowiadało mu, że to jest możliwe.

– Stale się uśmiechasz – zauważył któregoś dnia Anton. – Będziesz miał zmarszczki.

– Uhm.

– Nie rób tego – mruknął ponuro Anton. – Trójka dzieciaków i nie masz, stary, życia.

– Wolałbyś wrócić do tego, co było przedtem?

– Już tego nie pamiętam – westchnął Anton. – Nie jestem stary, a już tak się czuję.

– Tak narzekasz...

– Owszem, ale już bym się nie zamienił. – Anton uśmiechnął się szeroko.

– Jak zrobisz ten krok, to też nie będziesz żałował.

Kocha go, kocha, kocha. Marzy, żeby był blisko, a on nie widział pierwszego uśmiechu Rose, nie ma go przy niej, ona nie czuje jego miłości.

Przysięga, którą składała Berty, stawała się coraz bardziej nierealna. Ma tkwić w Yandilagong, kiedy jej ukochany jest w Sydney? To niewykonalne.

Ale Max wcale nie zaprasza jej do Sydney. Jego telefony i wizyty dotyczą wyłącznie terażniejszości. Tego, co robi Rose, jak rozwija się farma, czy Angusowi podoba się stary dieslowski ciągnik sift TD4, prezent od Maxa.

– I kto tu jest entuzjastą ciągników? – zażartowała.

– To tylko przejaw uprzejmego zainteresowania – odparł niewinnie, a ona się roześmiała na myśl o cenionym chirurgu z wielkiego Sydney, który stał się miłośnikiem ciągników... Max, jej mężczyzna.

Nie przyjeżdżałby, gdyby jej nie chciał, a ona wiedziała, że pójdzie za nim mimo obietnic.

Trzy miesiące. Max wykazywał wyjątkową cierpliwość, ale ona się domyślała, że kryje się za tym konkretny cel. Kocha ją i stara się, by ona z każdą wizytą kochała go jeszcze mocniej.

Dwa miesiące po porodzie wróciła do pracy, chwilowo dwa razy w tygodniu, by odciążyć Johna oraz żeby służyć społeczności Yandilagong, tak ważnej dla Williama. Dostarczało jej to dużo satysfakcji. To dlatego tu przyjechała.

Farma to drugi powód jej przyjazdu do Australii. Jałówki Angusa podrosły, a Sophie i Paula zaprzyjaźniły się z Bonnie. Chyba chciałyby mieć swojego własnego szczeniaka. Ale jeśli ma się przenieść do Sydney... Max ma służbowe mieszkanie... Szczeniak? No nie.

Szczeniak ważniejszy od Maxa?

– To jutro – powiedział. – Przyjadę koło południa. Ubierz się ładnie. – Do trzech miesięcy brakowało jednego dnia.

Następnego dnia nie mogła się go doczekać. Towarzyszyło jej przeświadczenie, że podjęła słuszną decyzję, mimo że wiązała się ona ze stratą.

Rose spała w pokoju z widokiem na zagrody i dalej na plażę. Może w Sydney uda im się kupić dom nad morzem, a może tylko sobie wmawiała, że chce mieszkać na wsi?

Chce być blisko Maxa.

Spóźniał się.

– O której miał przyjechać? – zawołała z kuchni Margaret. – Pieczeń mi się przypali. – Wyszła do Maggie na werandę. – To on?

Nie, to nie Max. To jakiś samochód sportowo-terenowy, na dodatek z dwiema deskami surfingowymi na dachu.

– Zabłądził? – zastanawiała się Margaret.

– Za nim jeszcze ktoś jedzie – odezwał się John.

Auto skręciło na podjazd, a ciężarówka za nim. Wielka ciężarówka, w której mogłoby się pomieścić wyposażenie całego domu.

– Może Angus zamówił kolejny ciągnik. – John spojrział na Angusa i Bonnie. Siedzieli we francuskim ciągniku z 1950 roku sprowadzonym przez Maxa..

Oba pojazdy powoli sunęły w ich stronę. Kto to jest? Mijając Angusa, auto osobowe zwolniło.

– Cześć, Angus! Cześć, Bonnie!

To Max! Ale po co ta ciężarówka? Kolejny ciągnik do kolekcji Angusa? Prezent pożegnalny?

Nie powiedziała Angusowi, że wyjeżdża. Ani Johnowi i Margaret. Ale może sami się domyślili.

Sama jeszcze nie wiesz, czy wyjeżdżasz!

Ale dlaczego Max wiezie deski surfingowe?

Oba samochody stanęły w cieniu eukaliptusów nieopodal domu. Wysiadłszy z auta, Max wyjął z niego czarno-białą puszystą kulę i ostrożnie położył ją na ziemi.

Szczeniak. Tej samej rasy co Bonnie. Przesłodka.

Gdy zwierzak rozglądał się zdziwiony, Bonnie błyskawicznie zeskoczyła z ciągnika, by starannie go obwąchać. Gdy w końcu pomachała ogonem, szczeniak usiadł i łapą pacnął ją po nosie, na co ona w podskokach pobiegła do Angusa. Szczeniak za nią.

– Ej, ona jest dla Maggie! – zawołał za nimi Max. Nawet Angus się uśmiechnął.

– Będzie wspólny – przemówił.

Nie będzie, jak wyjadę do Sydney, pomyślała ponuro Maggie. Max nie podszedł do nich, lecz zajął się zdejmowaniem desek surfingowych. Dwaj robotnicy tymczasem wyładowywali z ciężarówki... kajak.

– Nie pomożecie mi? – zwrócił się do grupki na werandzie. – Ja im płacę za godzinę.

John mocno szturchnął Maggie.

– Pomóż swojemu facetowi.

– On nie jest...

– Maggie! Wiozę ci deskę surfingową taki szmat drogi, a ty nawet nie chcesz jej obejrzyć. Aha, a w kajaku miejsce z przodu należy do ciebie.

– Ale...

– Jest jeszcze mnóstwo innych skarbów. Nie opłaca mi się trzymać ich w przechowalni w Sydney.

– Ale...

– Maggie, idź do niego – poradziła jej podejrzanie uszczęśliwiona Margaret. – Muszę zajrzeć do pieczeni, a wy, John i dziewczynki, marsz do środka.

Maggie poczuła, że weranda się pod nią zakołysała.

– Chodź, zobacz! – wołał Max, akurat gdy podbiegł do niej szczeniak.

Powitanie z nim dało jej chwilę na odzyskanie równowagi. Jak on się domyślił, że marzyła o szczeniaku?

– W mieście będzie nieszczęśliwy – wyrwało się jej. Snuła tyle hipotez, a teraz wszystkie biorą w łeb...

– Zawsze chciałem mieć psa – oświadczył Max. – Nazwałem go Bounce.

– To nie prezent.

– Prezent.

– Ale mówisz, że to ty chciałeś mieć psa.

– Prezent dla nas wszystkich.

– Nie rozumiem.

– Maggie, to jest samochód przewodzkowy. – Mężczyźni wynosili teraz ogromne dębowe biurko. – A w nim cały mój dobytek. Za poprzednią wizytą spenetrowałem szopy za domem i pomyślałem, że wstawię tam moje rzeczy.

– D–dlaczego?

Westchnął, ruszył w jej stronę, ale zatrzymał się parę kroków przed nią.

– Miałem nadzieję, że nauczysz mnie surfować.

– Przecież umiesz.

– Umiem pływać na falach. Ale nie na desce. Nie miał mnie kto nauczyć.

– I dlatego przywiozłeś meble. Żebym nauczyła cię surfować.

– Nie wszystkie. Tylko biurko dziadka. Piękne, prawda? Będziemy przy nim uczyli Rose czytać. I jeszcze fortepian po prababci. Czuję, że mała zostanie pianistką. Ale fortepian nie może stać w szopie. Raczej w salonie. Użyczysz mi kawałka salonu?

– Przecież ja mam tylko jeden pokój – jęknęła, starając się pozbiierać myśli.

– Wiem, ale nadchodzi czas wielkich zmian – odrzekł z rozbrajającym uśmiechem. – Mam nadzieję, że nie pospieszyłem się za bardzo.

– Jak to?

– Posłuchaj, John wpadł na pomysł, żeby otworzyć tu ośrodek zdrowia.

– Tutaj?

– W Yandilagong – uściślił. – Miasteczko jako takie jest nieduże, ale w całym rejonie mieszkają tysiące ludzi, którzy teraz z problemami zdrowotnymi są zmuszeni jeździć do Sydney, a można by im tego oszczędzić, gdyby powstał

tu ośrodek zdrowia. Przedstawiliśmy ten plan, gdzie trzeba, i spotkaliśmy się wyłącznie z entuzjazmem.

– John i ty?

– John i ja.

Kręciło się jej w głowie.

– Co to ma wspólnego z fortepianem?

– Daj mi skończyć – ofuknął ją łagodnie, uśmiechając się tak, że nogi się pod nią ugięły. – Czy ty wiesz, że jesteś piękna?

– Ja...

– Ktoś powinien ci to częściej powtarzać. Ale ten ktoś potrzebuje czasu. Na przykład aż po grób.

– Max...

– Tak, tak, po kolei... – Nie odrywała od niego wzroku. – Pozwól mi wyjaśnić, żebym wiedział, czy mam to wszystko rozpakować, czy zabrać z powrotem do Sydney. – Teraz on ją obserwował, ale nie postąpił ani kroku bliżej. – Ośrodek zdrowia powinien mieć liczniejszą obsadę niż ty, John i Margaret.

– Liczniejszą...

– Jeśli ma tu być szpital – uściślił. – Zapomniałaś o starym szpitalu na cyplu? Tam jest teraz baza turystyczna, ale ten teren w dalszym ciągu należy do gminy. Otrzymaliśmy zapewnienie, że jeśli skompletujemy personel, ponownie powstanie tam szpital. Więc John już się skontaktował z koleżanką, która emigruje z Zimbabwe. Ona jest chirurgiem, jej mąż farmerem, a ich synowie marzą o tym, żeby surfować. Mamy też Antona, mojego anestezjologa, który ma dosyć harówki w wielkowiejskim młynie. On też się nam przyda.

– Zrobiłeś... zrobiliście...

– To wszystko można jeszcze odwołać – zastrzegł się z uśmiechem. – Wystarczy jedno twoje słowo. Nie chcieliśmy ci o tym mówić, zanim nie sprawdzimy, czy to jest wykonalne. Teraz mamy już prawie stuprocentową pewność, więc złożyłem rezygnację.

– Złożyłeś rezygnację.

– Zachowujesz się jak papuga. Moja piękna papuga. Tak, złożyłem wypowiedzenie.

– D–dlaczego?

– Bo chcę wrócić do położnictwa – odparł. – Maggie, chcę znowu odbierać porody. Dzięki Antonowi i mnie tutejsze kobiety nie będą zmuszone rodzić w Sydney. O tym marzę, ale mam jeszcze większe marzenie. Od którego wszystko zależy.

– Ja nie...

– Nie domyślasz się? – Zawiesił głos. – Powiedziałem to tej nocy, kiedy urodziła się Rose. Los nas okrutnie doświadczył, ale od nowa nauczyliśmy się kochać. Tej nocy, kiedy urodziłaś Rose, zrozumiałem, że moje życie jest w twoich rękach. Kocham cię, Maggie, całym sercem. Teraz i na zawsze. Oniemiała.

– I chcę tu mieszkać, w Yandilagong – dodał.

Dlaczego on nadal utrzymuje dystans? Dlaczego jej nie objął? Może to sen. Trudno jej było uwierzyć, że słyszy te słowa na jawie.

– John znalazł dla siebie inną farmę. – Chyba dotarło do niego, co Maggie czuje. – I warunkowo się zgodził.

– Warunkowo...

– Warunek jest następujący: że wyjdiesz za mnie. Boże, jak ona go kocha. Ślub.

– Zaraz... zaraz, niech to sobie ułożę – wyjąkała. –Chcesz wyjechać z Sydney i osiaść tutaj. Na zawsze?

– Nigdy nie miałem zamiaru osiaść w Sydney. – Pieścił ją uśmiechem. – Kiedy umarła Alice, odszedłem od położnictwa i było mi obojętne, gdzie wyląduję. W moim dawnym szpitalu w Sydney sporo jest takich osobników. John, który uciekł z Zimbabwe, Anton, który przyjechał z Francji. Jest też ta koleżanka Johna z Zimbabwe. Kilka osób czeka na twoją odpowiedź.

– Na moją odpowiedź.

– Wystarczy, że powiesz „tak”.

Trzy miesiące zachodziła w głowę, jak złamać daną Betty obietnicę, a teraz człowiek, którego kocha, daje jej do zrozumienia, że może dotrzymać słowa. Że on chce wraz z nią realizować marzenie, które zrodziło się w głowie Williama: Niesłychane.

– Naprawdę chcesz żyć w Yandilagong?

– Zamierzam tu zostać i tu pracować. – Spoważniał. – Moim zadaniem jest opieka nad młodymi mamami. Oraz nad tobą.

– Nie potrzebuję...

– Nie chcesz, żeby ktoś się tobą opiekował? Chyba chcesz, a ja chcę, żebyś wrzeszczała na mnie, jak będę za długo pracował, a nawet wtedy, jak będę wyciskał pastę do zębów nie tak, jak lubisz. Chcę, żebyś nauczyła mnie surfować i chcę razem z tobą uczyć Rose. Chcę pomagać Angusowi przy ciągnikach, i ze szkoleniem Bounce. Chcę, żebyśmy mieli więcej dzieci.

– Chcesz...

– Maggie, przede wszystkim pragnę ciebie. Chcę mieć rodzinę. Co ty na to? Wyjdiesz za mnie?

– Za daleko stoisz. – Nim to powiedziała, porwał ją w ramiona, po czym przed nią ukląkł.

W tej samej chwili na werandę wysypali się John, Margaret z Rose na rękach, Sophie oraz Paula. Niemi świadkowie. Jak na dany sygnał robotnicy odstawili kartony, a Angus aż stanął w ciągniku, mocno trzymając oba psy, jakby się obawiał, że mogą zakłócić tę scenę.

– Wyjdź za mnie – powtórzył Max, całując jej dłoń. Obłąd. Wszyscy czekają z zapartym tchem na jej ruch.

Przyklękła.

– Powtórz.

– Chyba zapomniałem, jakie było pytanie.

– Chodziło o ślub.

– Ach tak. – Nagle zaklął pod nosem. – Wiedziałem, że czegoś zapomniałem. – Wyjął z kieszeni małe pudełeczko.

Otworzył je. To nie był pierścionek. Diament.

– Nie wiedziałem, co by ci się podobało. Niewiele miałaś w życiu okazji wybierać... Więc pomyślałem, że jeśli mnie przyjmiesz...

– Jeśli cię przyjmę...

– To sama wybierzesz oprawę. Rubiny, złoto, platyna... Co ci się najbardziej spodoba. Pod warunkiem że mnie zechcesz.

– Transakcja wiązana?

– Bez wątpienia. – Rzucił zebrany rozbawione spojrzenie. – Rodzina, ośrodek zdrowia, wspólna praca, miłość... Wszystko albo nic, moja piękna. Zapytam jeszcze raz i teraz oczekuję konkretnej odpowiedzi. Maggie, czy zostaniesz moją żoną?

Patrząc mu w oczy, ujęła jego twarz w dłonie i głęboko westchnęła.

– Tak – wyszeptała. – Tak, mój jedyny, mój ukochany, serce moje.